SPORT WODNY

I. MOKRZYSZEWSKI. 1931

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM WIOŚLARSTWA ŻEGLARSTWA PŁYWACTWA TURYSTYKI WODNEJ i JACHTINGU MOTOROWEGO

WARSZAWA LISTOPAD 1931 ROKU

Rok 7 Nr. 15

CENA EGZEMPLARZA 1 ZŁ.

ROK 7. WARSZAWA, LISTOPAD 1931 R. Nr. 15

Sport Wodny

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM WIOŚLARSTWA ŻEGLARSTWA PŁYWACTWA TURYSTYKI WODNEJ JACHTINGU MOTOROWEGO

Wspólnym wysiłkiem

Brak ludzi do pracy!

W każdym Związku, w każdej organizacji sportowej słychać ciągle biadania: Zrobilibyśmy to — a — to, ale brak ludzi.

O ileż szybszy byłby pochód polskiego sportu, gdyby nie brak zdolnych dzielnych pracowników na polu organizacji! Paru ludzi, mimo całego poświęcenia, i chęci nie może podołać zadaniom. Tu i tam święcimy wprawdzie organizacyjne sukcesy,— dzieje się to jednak dzięki nadludzkim wysiłkom, jednostek. Zdobycze na jednem polu, okupujemy na innem, które tymczasem leżą ugorem. Ciągłe szamotanie się, łatania, improwizacja nie mogą zastąpić systematycznej planowej, ciągłej pracy, ogarniającej równomiernie cały zakres zagadnień. Tylko wówczas będziemy mogli budować pewnie, gdy wznosząc wysokie wieżyce będziemy pamiętać o fundamentach. Dziś nasze organizacje to „domki z kart". Piękne wyniosłe, lecz na glinianych nogach.

Nadchodzą ciężkie lata kryzysu. Subwencje i zapomogi staną się coraz rzadsze. Związki i kluby będą musiały oprzeć swoje budżety na zasadzie samowystarczalności. Ilość pracowników płatnych trzeba będzie zredukować do minimum. Organizacje będą żyły o tyle, o ile znajdą w swem gronie ofiarnych członków, którzy złożą bezinteresownie swój zapał i pracę dla dobra sportu.

Dzisiejszą niechęć do pracy organizacyjnej wśród sportowców należy przełamać.

Każdy musi zrozumieć, że moralnym obowiązkiem sportowca, jest ofiarowanie swej pracy dla klubu, czy Związku. Zwycięstwa osiąga się nie tylko nogami, lecz przedewszystkiem głową.

Tylko wspólnym wysiłkiem organizacje — potrafią przetrwać ciężkie czasy.

Bez wydatniejszej pomocy ogółu sportowego tempo pracy wobec trudności szybko maleje, a zdobycze dzisiejsze, — jutro wydadzą się nam niedościgłemi. Zaczniemy się gwałtownie cofać.

Hasłem naszem musi być powszechna mobilizacja sił do pracy dla wspólnego dobra.

Pod kierownictwem znanych i zasłużonych przewodników wspólnym wysiłkiem możemy stworzyć cuda! Mimo trudności finansowych potrafimy nie tylko utrzymać, ale i powiększyć nasze organizacje, potrafimy zadokumentować naszą energję młodzieńczą, która ma jeden tylko kierunek rozwoju: Naprzód i wzwyż!

By jednak ten upragniony stan współpracy wszystkich dla dobra sportu mógł nastąpić — musi przejść rewizje pewnych pojęć. Praca organizacyjna musi znaleźć należytą ocenę, szacunek i uznanie wśrod ogółu sportowców. Lekceważące pogardliwe określenia jak „bubek z Zarządu" — nikogo nie zachęcają do bezinteresownej pracy.

Dzielni, fachowi pracownicy na niwie organizacji sportu muszą znaleść, także oparcie i zrozumienie w pracy.

Jeżeli są to ludzie czynu i inicjatywy, wprowadzać będą różne nowości, które jak każde ludzkie dzieło posiadają braki, usterki. Obowiązkiem prasy jest na niedomagania pewnych pociągnięć zwrócić życzliwą uwagę. Zarzuty należy jednak umotywować, argumentami normalnej logiki. Krytyka twórcza — zgoda! Lecz nie obelżywa. Operowanie ogólnikami, wyszydzanie, szermowanie dowcipem przeznaczonym dla bardzo mało wybrednych mas, wycieczki i napaści pod adresem ludzi, niejednokrotnie bardzo dla sportu zasłużonych, nie przyczyniają się do wytworzenia zdrowej atmosfery współpracy. Przeciwnie odstraszają najdzielniejsze elementy, (nie każdy znajduje przyjemność w tem, że został bohaterem rynsztokowych feljetonów). Na „szczekaczy", mających do dyspozycji pewnego typu prasę, należy znaleźć kaganiec.

Trzeba uniemożliwić napaści na osoby, które bez widoku na jakiekolwiek korzyści osobiste ofiarowują cały swój zapał i umiejętność dla dobra wspólnej sprawy.

Ochrona przed potwarzą i oszczerstwem, jest pierwszym warunkiem, na drodze zdobycia współpracy ludzi dzielnych i wartościowych.

Wielu wybitnych działaczy zniechęconych napaściami, usunęło się wogóle, z wielką szkodą dla sportu, od pracy w organizacjach. Jeżeli będziemy tolerować nadal stan dzisiejszy to pozostaną na placu,—nie pełni inicjatywy działacze, a tępi biuraliści karjerowicze, w asyście bojówek „szczekaczy".

Związki zamiast być mózgami organizacji zamienią się poprostu w segregatory.

Czy będzie to w interesie sportu należy wątpić!

Zdrowa część sportowego społeczeństwa potrafi, nie wątpimy, rozróżnić ziarno od plewy — ofiarnych pracowników, od „szczekaczy" — występujących w imię własnych partykularnych ambicyj i interesów! Gdy to nastąpi wówczas znajdzie się więcej chętnych do pracy, a gmach sportu będziemy budowali wzwyż raźniej, bo wspólnym wysiłkiem!

Przy zamkniętych przystaniach

Od Redakcji: Poniższy artykuł umieszczony jako dyskusyjny, przypuszczając, że zainteresowani wodniacy zechcą się wypowiedzieć.

Wyjątkowo kapryśna w tym roku aura, osobliwie w drugiej połowie sezonu wioślarskiego, i niezwykłe wrześniowe chłody przy względnie pogodnym październiku, wysuwają aktualną sprawę mechanicznego skracania okresu turystycznego na naszych wodach przez wczesne zamykanie przystani w klubach wioślarskich.

Utarło się przeświadczenie wśród ogółu sportowców wodnych, że z uroczystym aktem opuszczenia bandery klubowej zamiera życie towarzyskie... bufetowe, a także i wycieczkowe na naszych przystaniach.

Otóż, zgadzając się w zasadzie co do potrzeby zwinięcia bufetów i przeniesienia dancingujących par do innych cieplejszych i może wytworniejszych lokali w mieście, uznać należy tak biurokratyczne przecinanie działalności sportowo - wycieczkowej za zupełnie nieuzasadnione.

Niech zamykanie przystani ma charakter raczej gospodarczy i niech w niczem nie wpływa ani na treningowe wyjazdy regatowców, którym zapewne przyjemniej przeciągnąć się po „żywej wodzie" na rzece, niż mieszać ją na aparacie w basenie zimowym, ani na imprezy wycieczkowo - turystyczne.

Te ostatnie, zwłaszcza, zasługują na poparcie, gdyż ciche pogodne dnie jesienne i mieniąca się złotawo - rdzawemi tonami szata roślinna mają przecież specjalny urok smętku i melancholji gasnącego lata.

Kto w takim okresie wjedzie do łachy wilanowskiej i pruje ciche wody stawu pod szpalerami majestatycznych aleji królewskiego parku, napewno nie pożałuje wysiłku i wraca pod silnym urokiem tego pięknego zakątka.

Mimo krótkiego dnia i chłodnych nieraz nocy można robić bardzo miłe wyprawy, mając zapewnione noclegi w budynkach murowanych, lub nawet wracając tegoż dnia statkiem czy też koleją i oddając łódź do wyekspedjowania jednym z tych środków transportowych.

Nasza zniewieściałość a nieraz poprostu lenistwo ducha nie wyobraża sobie obcowania z przyrodą, gdy palące promienie słońca sierpniowego należą już do przeszłości, a przecież rytmiczny ruch na wiośle pod smagającemi nagie ciało porywistemi uderzeniami wiatru, lub w ciche ale nieupalne dnie jesienne ma swój niezaprzeczony urok.

Nie mówiąc już o sportowcach zagranicznych, gdzie kwestja klimatu zmienia zasadniczo warunki atmosferyczne, moglibyśmy się nieco nauczyć od klubów gdańskich.

Widywałem niejednokrotnie w samym środku zimy (styczeń) w dnie odwilżowe osady, wiosłujące w najbardziej pogodnym nastroju ducha wśród malowniczych prastarych spichrzów zbożowych po cichej Motławie.

Jeśli zechcemy to usprawiedliwiać łagodnym klimatem nadmorskim Gdańska i wybrzeża wogóle, to pamiętajmy, że jednak leży on o 300 z górą klm. od Warszawy, a drugie tyle od, dajmy na to, Krakowa na... północ.

Jeśli, istotnie, zuchwałe normandzkie wikingi podbiły ongi żyzne ziemie Sarmatów nad Odrą i Wisłą, to zaprawdę niewiele z tej „morskiej" krwi zostało w żyłach naszego pokolenia.

Naogół traktujemy sport wioślarski: panie — jako przyjemny sposób opalania wdzięcznych kształtów na bronzowo, a panowie — jako środek na schudnięcie z jednej, a okazję do rozgrzewających i „wzmacniających" napojów z drugiej strony.

To też, gdy życiodajne słońce zniży swój bieg ku Zwrotnikowi Koziorożca, zamiera szybko ruch i gwar na przystaniach wioślarskich i rozsnuwa się nad niemi długa zimowa martwota, trwająca beznadziejnie długo, aż do połowy maja.

A przecież zarówno wczesną wiosną jak i późną jesienią można znakomicie uprawiać piękny sport na wiośle czy żaglu przed otwarciem i po zamknięciu przystani.

Wysoki stan wody w tym okresie czasu umożliwia jazdę po zalanym kępach i smugach nadrzecznych, ułatwiając pracowite windowanie się w górę rzeki i dając rozkosz gwałtownego spływu wdół po wezbranych bystrych nurtach.

Częstokroć przybór na Wiśle nie jest powszechnym zjawiskiem na całym jej systemacie rzecznym i ułatwia to wjazd pod prąd na jej dopływy, gdzie naskutek spiętrzenia wody przez wezbrane koryto Wisły znajdujemy idealne warunki nawigacyjne, t. j. minimalny opór prądu i znaczną głębokość.

Jest to okazja do zwiedzenia i poznania małych rzeczek — z reguły w malowniczych brzegach zamkniętych — a dostępnych latem przy niskim stanie wody tylko kajakowcom.

Wiosną mamy jako dodatkową atrakcję dzień długi, no i przepych rozwijającej się bujnie roślinności, jesień t. zw. polska przynosi w ostatnim darze turystom zazwyczaj ciche, pogodne słoneczne dnie.

Nie należy się więc poddawać psychozie zamykania przystani i uprawiać pełną uroku beztroską włóczęgę wodną przynajmniej przez 6 miesięcy w roku.

Nie zatrzaskujmy przedwcześnie podwoi sportowych ludziom wiosła i żeglarzom, owszem ułatwiajmy prawdziwym miłośnikom turystyki wodnej korzystanie z taboru klubowego jaknajdłużej i nawet w celach propagandy zezwalajmy na dalsze wyjazdy pod banderą i w okresie zamkniętej przystani.

Tu wieleby można powiedzieć o żmudnych formalnościach przydzielania łodzi przez odpowiednie władze klubowe.

To dobre w pełni sezonu, gdy na każdą łódź czyha po kilku amatorów, ale przed i po sezonie przy napchanych taborem szopach, należy usprawnić i uprościć tę procedurę.

Pogodę trzeba chwytać natychmiast, a zawiadomić naczelnika czy komisję o wyjeździe można i później.

R. Niewiadomski.



O szerszy program żeglarstwa

W majowym (6) numerze „Sportu Wodnego" r. b. ukazał się był artykuł p. Z. Pankiewicza p. t. „O morskich żeglarzy", poprzedzony kilku słowami od Redakcji, która zachęcała zainteresowanych żeglarzy do wypowiedzenia się w sprawach tak aktualnych, jak projekt programu wyszkolenia morskiego. Następnie w październikowym—14-ym— numerze wydrukował Tonny artykuł „O program pracy sportowej na morzu", gdzie dzieli się swemi spostrzeżeniami opartemi przedewszystkiem o doświadczenia tegorocznego Ośrodka Morskiego.

Sprawa jest jeszcze ciągle otwarta wobec tego, że nie istnieje jeszcze program ogólny pracy żeglarskiej, któryby uporządkował rozbieżne poczynania. Prób ogarnięcia całości nie było, próby cząstkowe opracowania mniejszych odcinków — nieliczne i niefortunne — porównałbym do przygotowania drobnych operacyj taktycznych, które bez szerszej myśli strategicznej mogą dać wygraną potyczkę, nigdy — wojnę.

Zauważyć można nieraz tendencję dzielenia żeglarstwa na morskie i śródlądowe i traktowania, jakby coś zupełnie odrębnego. Z drugiej strony przyznać trzeba, że próba sprowadzenia do jednego mianownika, za jaką uważać należy „Program eegzaminu na sternika śródlądowego (kwalifikowana załoga morska)" opracowany przez Komisję Techniczną P. Z. Ż. — okazała się nieudolną. Nie mówię tu o przeprowadzaniu egzaminów ,ale o samym programie. Jego podstawowym błędem była chęć zrównania kwalifikacyj koniecznych dla samodzielnego sternika śródlądowego z wymaganiami stawianemi załodze morskiej, a więc najniższemu stopniowi wyszkolenia morskiego. Program jest ułożony wyłącznie dla śródlądowców: żądanie od kwalifikowanej załogi morskiej znajomości przepisów wymijania na wodach wewnętrznych (bez wymagania przepisów o zapobieganiu zderzeniom statków na morzu!).

Znajomość etykiety jachtowej, przepisów regatowych i klasowych (nb. nie mamy dotąd klas morskich), „znajomość regulaminów związkowych dotyczących żaglowania" (nie wiem, o czem myślano przytem), objaśnianie rysunków konstrukcyjnych wreszcie żądanie znajomości wód bieżących — wszystko to absolutnie nie nadaje się do wymagania od załogi morskiej. Niema zato np. słówka o umiejętności sterowania według kompasu, zbędnej dla śródlądowca, ale koniecznej dla każdego członka załogi jachtu morskiego, niema znajomości flag kodu — niema nic specyficznie morskiego. Nie wolno jednak z tego wysuwać wniosku, że należy zupełnie oddzielić morze od lądu. Te dwie dziedziny doskonale mogą i powinny współpracować, chociaż nie należy traktować żeglarstwa śródlądowego wyłącznie jako przygotowania do morza: ma ono własne zadania, których zapoznawanie i lekceważenie wyrządziłoby pośrednio krzywdę żeglarstwu morskiemu przez zacieśnienie ruchu żeglarskiego wogóle.

Spróbujmy systematycznie omówić wnioski obu artykułów z uwzględnieniem współdziałania z żeglarstwem śródlądowem, co zostało tam pominięte.

Zarówno P.(ankiewicz), jak i T.(onny) widzą przeładowanie teorją Ośrodka Morskiego, który powinien dawać przedewszystkiem praktykę. Wyjście z tego znajdują w przeniesieniu wykładów poza Ośrodek — w urządzanych zimą kursach teoretycznych. Oczywiście zyskają na tem przedewszystkiem większe środowiska żeglarskie, gdyż



Przy dobrej bryzie jachty walczą o palmę pierwszeństwa.

w mniejszych urządzanie kursu teoretycznego nie byłoby możliwe inaczej, niż w formie wspólnego studjowania podręczników żeglarskich. Do tego sprowadzi się bowiem proponowany przez T . kurs korespondencyjny dla prowincji. Niewątpliwie urządzenie kursów teoretycznych ogromnie podniosłoby poziom Ośrodka Morskiego — pod jednym atoli warunkiem: wstępna selekcja musi być surowo przeprowadzona. A więc należy albo wykazać się ukończeniem kursu teoretycznego, albo poddać się egzaminowi wstępnemu. To jedna strona — teorja. Prócz tego niemniej ważną rzeczą jest przygotowanie praktyczne, które pominięte jest w obu artykułach . T. wspomina wprawdzie, że winna być brana pod uwagę uprzednia praktyka żeglarska, uważa jednak, że ze względów propagandowych konieczna jest duża tolerancja — byle było szczere zainteresowanie P. wymaga odpowiednich warunków fizycznych, fizjologicznych i psychicznych (ważne, a niedoceniane!) nie wspomina jednak o przygotowaniu praktycznem.

Tymczasem trzeba podnieść, że kurs teoretyczny tylko w wyjątkowych wypadkach może dać dobry wynik w stosunku do uczestnika, który nie uprawiał wcale sportu żeglarskiego. Zbyt dużo trzebaby „wyobrażać sobie" i zbyt trudna to sztuka. Powołałbym się na kilkakrotnie urządzane już kursy zimowe, które dały niewątpliwie korzyści żeglarzom uczęszczającym na nie, ale laików — kandydatów na żeglarzy musiały zmęczyć i zniechęcić, zamiast zachęcić. Tymczasem projekt P. przewiduje zaczęcie szkolenia morskiego od zimowego kursu teoretycznego, po którym dopiero w lecie nastąpiłoby szkolenie na załogę morską. Sądzę, że nawet przyjmując trzyletnie szkolenie praktyczne możnaby i należałoby przenieść teorję wstępną na zimę następującą po pierwszym kursie praktycznym. Załoga nie teoretyzuje zbyt wiele, a ręczę, że w ciągu miesiąca praktyki posiadłaby wiadomości potrzebne bez żadnego specjalnego wysiłku, w sposób naturalny. Ale uważam, że —podobnie jak to było dotąd — należy wymagać koniecznie praktyki żeglarskiej. Rzeczą wątpliwą jest, czy ma to być koniecznie stopień sternika śródlądowego: trzeba się liczyć z tem, że żeglarze gdyńscy i gdańscy nie mogą udawać się na wody śródlądowe specjalnie w celu uzyskania tego stopnia ,pozatem jak dotąd jeszcze nikt nie otrzymał tego stopnia.....

Nie można oczywiście stawiać wymagań fikcyjnych i mówić o „żeglarzach śródlądowych", skoro takiego stopnia niema. A takich formalnie kwalifikacyj żądano dotąd przy przyjmowaniu do Ośrodka.

Nic dziwnego, że jako żeglarze śródlądowi znaleźli się tam obok wybornych sterników (chciałbym rzec: kapitanów śródlądowych) zupełnie laicy, którzy byli tylko zawadą. Słusznie podkreśla T., że Ośrodek jest zbyt kosztowny na to. Z tego samego względu zakwestjonowałbym projekt P. by rozciągnąć na trzy lata program Ośrodka. Oczywiście gdyby przyjmować materjał nieprzygotowany, to trzy lata wcale nie byłyby zbyt długim okresem. Pamiętać jednak trzeba, że w takim razie w Ośrodku musiałyby być corocznie prowadzone trzy kursy, na trzech różnych poziomach, co ze względów na tabor, instruktorów i koszty byłoby b. trudne do przeprowadzenia.

Sądzę, że uniknęłoby się tego, przenosząc szkolenie przygotowawcze poza Ośrodek Morski. Żeglarze z wód śródlądowych powinni mieć za sobą kurs śródlądowy — czy to w klubie, czy też któryś ze specjalnych kursów, jakie bywają urządzane w lecie. Kursy takie dają o wiele lepsze wyniki specjalnie jeżeli chodzi o szkolenie początkowe. Przeciętny uczestnik po 4 tygodniach będzie nietylko kwalifikowaną załogą, lecz samodzielnym żeglarzem. Uważam przytem, że żeglowanie na małych łodziach da o wiele lepsze wczucie się w żeglarstwo, niż rozpoczynanie odrazu na dużych jachtach morskich, wyrobi też samodzielność, której nie daje i dać nie może szkolenie specjalne na załogę. Ośrodek ma kształcić instruktorów i samodzielnych żeglarzy morskich, szkolenie załóg morskich nie jest jego celem. Uważam więc, że należy układać program dwuletni dla Ośrodka, zato uwzględnić konieczność szkolenia uprzedniego na wodach śródlądowych. Oczywiście nie stosowałbym tego do mieszkańców wybrzeża, ci z natury rzeczy będą zaczynali zajęcia żeglarskie odrazu na jachtach, (chociaż i dla nich przejście kursu początkowego na jolach dałoby wiele korzyści).

Wobec szybkiego rozwoju żeglarstwa śródlądowego można liczyć, że do Ośrodka Morskiego będą przybywać ludzie coraz lepiej przygotowani. Wydaje mi się, że powinniśmy dążyć do wyeliminowania z programu kursów morskich wszystkiego tego, co nie jest specjalnie morskie A więc np. zasady budownictwa, teorja żeglowania i in. należy do ogólnej wiedzy żeglarskiej i powinno być przekazane szkoleniu podstawowemu — które dotąd było traktowane po macoszemu.

Stwierdzam sprzeczność między P. i T. w sprawie wielkości jachtów odpowiednich: P. jest zwolennikiem większych jachtów (15 — 20 osób, a więc 30 — 40 ton), zaopatrzonych w stałą załogę, T. uważa za odpowiedniejsze mniejsze — 20-tonowe z załogą najwyżej 10 osób. Przechylam się na stronę tego ostatniego projektu. Żegluga na jachcie większym zbyt przypomina statek. Bezpośrednie zetknięcie z morzem powinno być możliwie bliskie. Pozatem ma to być przygotowanie do przyszłego samodzielnego żeglowania, które niewątpliwie będzie z reguły odbywać się na małych jednostkach.

Nie zgodziłbym się z dwoma projektami T. Przedewszystkiem — z dobieraniem załóg według klubów w celu podniesienia rywalizacji. O rywalizacji może i powinna być mowa na regatach, uważam też, że urządzanie zawodów w Ośrodku Morskim — przewidywane zresztą w programie jego zajęć — byłoby dobrym sposobem nietylko zachęcenia do pracy, ale i szkolenia. Zato wytwarzanie silnej rywalizacji klubów — która i tak pozostanie zawsze — obok pewnych korzyści emulacji i podniesienia poziomu uniemożliwiłoby Ośrodkowi spełnienie ważnej funkcji społeczno - żeglarskiej: zbliżenia międzyklubowego, którego tak nam brak. Raczej należy zrezygnować z owych korzyści indywidualnych i klubowych dla większych korzyści ogólnych. Ośrodek jest obecnie wybornym i jedynym terenem, gdzie mogą zapoznać się żeglarze z całej Polski, wykazać swą wartość osobistą i porozumiewać się swobodnie bez obawy posądzenia o „szowinizm". Odrodzenie żeglarstwa polskiego może począć się tylko na takim terenie ponad-klubowym.

Drugim wnioskiem T., przeciw któremu wypowiadam się, jest rozdzielenie Ośrodka na dwie osobne grupy. Uzasadnienie: nie jest pożądany jednolity system szkolenia grup, które mają różne przygotowania i cele. Co do przygotowania — trudno dowodzić, że wszyscy uczestnicy Ośrodka mieli jednakie przygotowanie. Zależy to równie dobrze od środowiska, indywidualności, klubu czy organizacji, wieku i t. d. Pewne różnice pozostaną zawsze. Trzeba jednak powiedzieć, że dotąd prawie nic nie robiło się dla ujednostajnienia tego przygotowania, a zwłaszcza, że zbyt krótki okres czasu upłynął, by można było oczekiwać skutków tego, co było uczynione. Przecież program egzaminu na sternika śródlądowego nie tak dawno obchodził rocznicę swych narodzin. Przecież program pracy drużyn harcerskich wodnych również nie dawniej jak na wiosnę był przedmiotem obrad specjalnej konferencji, zaś ujedno-

stajnienie go z wymaganiami P. Z. ż. wymagałoby również czasu, pracy no i... ustalenia tych wymagań. W sumie: nie było większych różnic w przygotowaniu między harcerzami a klubowcami, niż między poszczególnymi klubowcami.

Drugi punkt: różne cele z punktu widzenia organizacji harcerskiej uprawia się żeglarstwo jako dobry środek wychowujący — zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Harcerstwo nie jest organizacją o celach sportowych, choć stosuje sport w celach wychowawczych. Z punktu widzenia klubów żeglarskich uprawia się żeglarstwo jako sport, do czego trzeba sobie wychować ludzi. Kluby żeglarskie nie są organizacją o celach wychowawczych, choć stosują metody wychowawcze w celach sportowych. Ale i jedno i drugie przychodzi do Ośrodka, by nauczyć się żeglować. Z tego punktu widzenia cel ich pobytu w Ośrodku jest jednakowy, jednakowy też jest system nauki żeglarstwa bez względu nato, co człowiek będzie z niego w przyszłości czerpał. Niewątpliwie klubowcy wieleby się mogli nauczyć od harcerzy pod względem wychowawczym, a harcerze od klubowców pod względem sportowym. Przyznam, że mogą być też i złe wpływy — zależy to jednak od indywidualności, nie od przynależności.

Rozdział harcerzy i klubowców uważam za szkodliwy z analogicznych powodów, dla jakich występowałem przeciw podziałowi na grupy klubowe. Tam również można było obawiać się pewnych niekorzystnych wpływów wychowawczych, bo poszczególne kluby również znacznie różnią się co do charakteru i typu, jaki w nich panuje i jest — świadomie lub nieświadomie — wytwarzany. Ale utrwalenie — istniejących — antagonizmów między harcerzami a klubowcami jest również niepożądane wychowawczo, podniecając obustronnie „wyłączność". O ile klubowcy mogą jeszcze spotykać się na terenie regatowym, to z harcerstwem wodnem poprostu niema zupełnie punktu styczności — prócz właśnie Ośrodka .

A jest to dla żeglarstwa polskiego tem ważniejsze, że harcerstwo tworzy przecież kadry żeglarskie, które obecnie nie mają odpływu. Drużyny wodne wciąż powstają i pracują coraz planowiej i energiczniej, ale drużyny harcerskie są drużynami młodzieży. Z reguły nie należą do nich ludzie dorośli. Ta pięta Achillesowa harcerstwa — nie znajdowanie miejsca dla ludzi dorosłych a wyrosłych w ruchu — byłaby dla żeglarstwa klęską, jeżeliby dawni harcerze wodni wraz z całym dużym zapasem umiejętności żeglarskich mieli być straceni dla żeglarstwa Tworzenie specjalnych ugrupowań starych harcerzy wodnych (z młodymi trudno ich łączyć ze względów wychowawczych) byłoby tworzeniem specjalnych klubów harcerskich sportowych, co według mnie jest dobre. Naturalnym odpływem dla harcerzy-żeglarzy powinny stać się kluby żeglaskie.

Do tego jednak musimy się znać, musimy wspólnie pracować, musimy tępić antagonizmy. Dlatego muszą znaleść się starsi żeglarze — kandydaci na sterników i kapitanów — w jednym wspólnym Ośrodku.

A. Wolff.



Jesienny widok portu w Jastarni.

O podniesienie poziomu piłki wodnej w Polsce

Sport pływacki w Polsce ma ciemną plamę — jest nią water - polo. W pływaniu po latach „ząbkowania", nastąpił okres młodzieńczy — zdobywania. Dociągnęliśmy się do dobrej klasy europejskiej. Nie ustajemy w postępowaniu. Idziemy naprzód! Water-polo trwa w odrętwieniu, martwocie. Od 10 lat posunęliśmy się o mały krok naprzód. Postępy zawdzięczamy, raczej lepszej umiejętności pływania, niż opanowania techniki piłki i zrozumienia ducha gry zespołowej. Raz do roku nasze pływackie „asy" odrabiają pańszczyznę: na parę minut zamieniają się w water polistów. Jest w tem nieporozumienie! Przed laty, gdy w klubach było po 10 pływaków, jakiej takiej klasy (nie tonących) — drużyna musiała opierać się na tej „żelaznej kadrze". Dziś stosunki się zmieniły. Mamy w klubach wielu dobrych pływaków, którzy mogliby przy odrobinie dobrych chęci i odpowiedniej porcji zaprawy, stanowić doskonały materjał na water-polistów.

Co byśmy powiedzieli, gdyby ktoś skompletował drużynę piłki nożnej z wybitnych lekkoatletów, lub drużynę polo konnego z jeźdźców i koni wyścigowych? Orzeklibyśmy, że to nonsens! W pływaniu nonsens ten zyskał jednak prawo obywatelstwa. Indywidualistów, „ścigantów", zmusza się do gry zespołowej, do wysiłków zupełnie różnej kategorji. Nie utrzymuję by dobry „sprinter", nie mógł być dobrym water-polistą, chcę tylko powiedzieć, że — raczej nim nie będzie. Przykład Jonny Wessmüllera jest pod tym względem, aż nadto przekonywujący.

Jakiż stąd wniosek?

Należy wziąć rozbrat z dotychczasowym systemem kompletowania drużyn. Odciążymy w ten sposób i tak zapracowanych zawodników. Powołamy nowe siły, które nie znajdują upodobania w wyścigach, lubią natomiast grę. Wyodrębniając water-polo podniesiemy zarówno poziom pływactwa, jak i piłki wodnej. Dziś, każdy mecz psuje formę zawodnika, zakłócając plan racjonalnego treningu. Nic dziwnego, że kierownictwa drużyn unikają jak mogą urządzania tych meczów, co znów nie pozwala, czynić w pięknej grze postępów.

Piłka wodna, ma duże widoki powodzenia. Jest widowiskiem ciekawem. Obfitość momentów dramatycznych i komicznych sprawia, że publiczność chętnie na mecze water-polo uczęszcza.

Zagranicą water-polo wszędzie stanowi „clou" zawodów pływackich. By zainteresować publiczność trzeba, jednak grać. Akcja musi mieć sens, plan, umiejętności techniczne graczy muszą pozwalać na przeprowadzenie zamierzeń. Bijatyki na mokro mogą zaspokoić gusty tylko pośledniej publiczności.

Omówione powyżej przyczyny nie wyczerpują zagadnienia. Najważniejszą rzeczą jest wadliwy system rozgrywek. System rozgrywania mistrzostw przez czołowe drużyny w jednem miejscu w ciągu 2 — 3 dni zawiódł na całej linji. Drużyny przyjeżdżały po bojach mistrzowskich w pływaniu, wyrównywać rachunki. Kto nie miał w tem interesu, ten nie jechał. Zespoły sklecone na prędce z pływaków, a nie graczy, bez specjalnego treningu, odrabiały „ostatni kawałek" mistrzostw i wracały do domu, by nie myśleć o przykrych chwilach do następnego roku.

Jeden z twórców dotychczasowego projektu p. Semadeni, w I. K. C. z dnia 20 października kreśli nowy projekt organizacji rozgrywek o mistrzostwo w water-polo. Cztery kluby czołowe: (Makkabi — Kraków, Cracovia, AZS. — Warszawa i Unja — Poznań) tworzą powiedzmy Ligę. W terminie przed Mistrzostwami Głównemi w pływaniu rozgrywają te kluby systemem ligowym spotkania. Gra każdy z każdym po 2 razy, ogółem, czyni to 12 meczów, rozgrywanych w 3 miejscach kraju. W mistrzostwach okręgowych drużyny pierwsze klubów ligowych udziału nie biorą, mogą natomiast wystawić do walki drużyny drugie i dalsze. W mistrzostwach okręgowych będzie po 4 kluby w każdej klasie. Mistrzowie okręgów rozgrywają między sobą systemem puharowym (eliminacyjnym) ćwierć i półfinały. Mistrz mistrzów — wchodzi automatycznie do Ligi na miejsce czwartego klubu ligowego, który wypada z rozgrywek ligowych.

Zarówno w grach ligowych jak i o mistrzostwo okręgów 2 walkovery powodują wypadnięcie z rozgrywek.

Choroba walkoverów w ten sposób może zaniknie.

Projekt powyższy oparty na doświadczeniach piłkarskich, winien dać dobre rezultaty. Wyrównanie konkurencji w grupach przez podział na klasy równej siły, nie będzie odstraszał klubów słabszych od udziału w rozgrywkach.

Pod względem finansowym sprawa również przedstawia się dobrze. W grupie ligowej koszty łatwo pokryje się z biletów wstępu (mecze z reguły będą rozgrywane wraz z zawodami pływackiemi). W mistrzostwach okręgowych w miejscowej konkurencji koszty są minimalne. Najtrudniejszą jest sprawa sfinansowania rozgrywek o wejście do Ligi. I tu jednak podział na 3 kolejki (ćwierć-, pół- i finał), przy dobieraniu partnerów według odległości nie powinien wypaść zbyt drogo.

Projekt p. Semadeniego, mający wszelkie szanse wejścia w życie, okaże się jednak wartościowym tylko w tym wypadku, gdy poparty będzie propagandę samej gry. Przy nauce pływania, obok stylów uczyć trzeba gry w piłkę. W ten sposób uczynimy water-polo sportem modnym, i podbijemy publiczność, tak jak to zrobiła piłka wodna zagranicą!

Przyszły sezon musimy rozpocząć pod nowem hasłem: Water-polo dla wszystkich!

A. Heinrich.

Co robi zarząd pływalni?

Nareszcie... Nareszcie otwierają basen! Poszło po warszawskim „narodzie". Za dni parę będzie można pławić grzeszne cielsko! Zadrgały radośnie serca... Hip... Hip... Gdzie tylko brać spotkasz nic, tylko o pływalni, rekordach, godzinach treningu cenie wejść i t. p. Aby pojąć podobne rozgorączkowanie trzeba samemu conajmniej być pływakiem. Tym łaknącym wody, której w Polsce tak im skąpią.

Latem w naszej miłej Ojczyźnie, nieba tak troszczą się o swą „faunę", tak pragną każdemu urozmaicić szarzyznę życia, że nie skąpią miłych „atrakcyj". Raz deszczyk majowy parę tygodni bez przerwy ochładza atmosferę, to znów śnieżek popada w środku lata, jakby wspomnienie majestatycznej zimy. Dla kompletu mróz nieraz zwarzy najwięcej buńczuczne miny. Po tem skwar sześćdziesięcio stopniowy! Całkiem „Madera"! same kontrasty w tonach. To też rozkosze naszego lata każdy „docenia" i wbrew różnym przysłowiom nikt nie zazdrości zagranicy! Niech przyjedzie Paryżanin albo inny Niemczyk. Tu dopiero pozna „siłę", po mdłym bez wyrazu wciąż słonecznym niebie francuskim. Ale o ile społeczeństwo „in corpore" cieszy

się takim stanem rzeczy, to już jego skrawek—pływacy— szaleją! Zmartwienie nie leży w naturze takich „mokrokręgowców" więc klną tylko i są zadowoleni! Pozornie może. Bo trudno zrozumieć... Ale tak jak na początku i tu dla laika dzieją się niepojęte rzeczy. Wiatr, ziąb, deszcz siepie, psa z kulawą nogą nie wypędź, a taki warjat leci na trening! Kostjum zwisa jak na kołku, na kaczej z zimna skórze. Lodowata woda chluboce jak na zatracenie. Samobójcę by odpędziło. Ale On!... To Nadczłowiek. To fakir. Więcej może. Bo nie wiem, który tam z najzagorzalszych rodaków Ghandiego z takiem zacięciem waliłby się w rozkoszną toń. Nie dość na tem. „Taki" dosłownie „z mokrą głową", wyłazi i nie raz nie dwa robi „starciki". Bo trzeba by wlazło w siebie. Aby w wyścigu nie zbaranieć po strzale startera. Zaciska tedy zęby i spada na nie, choć za każdym razem woda nie szczędzi mu przyjemności. Ogień zapału zagrzewa go jednak.Ale że dni takich jest sporo, a jeden gorszy od drugiego, więc załamują się nawet najsilniejsi.

Dzieje się to nietylko u nas. Tem się tłumaczy fakt, że niemal wszędzie najwyższą formę osiągają pływacy dopiero późną jesienią, lub w zimie; gdy po ostatnich zawodach na otwartej wodzie przenoszą się do pływalni krytych. gdzie nic nie stoi na przeszkodzie racjonalnemu treningowi. Zdawaćby się mogło, że i u nas podobnie dziać się powinno.

A tymczasem... Pysznie kwitnąca stolica wielomiljonowego państwa sama miljon mieszkańców licząca nie ma ani jednej pływalni zimowej. Warszawa zdaje się polować na nadzwyczajności. A że niezwykłością też jest brak basenów, więc poco wchodzić w banalność. Robić to co wszyscy od lat mają. Tem chyba tłomaczy się, że Warszawa nie zdobyła się jeszcze na godną jej pływalnię. Wystarczy zajrzeć do pierwszego z brzega miasta Francji, Belgji, Niemiec i t .d., aby przekonać się jak traktują podobne rzeczy. Miasta zagranicą, wielkości Lublina, mają po kilka pływalni letnich, a zawsze conajmniej jedną zimową.

Utarło się, że pływalnia to luksus. Wyrzucanie na darmo pieniędzy. To jakby ostrygi i szampan w skromnem menu studenckiego obiadku...

Ale wybudowano jedną. Źle i zadrogo. Bo wzięli się do tego jak do luksusu. Zrobiono jak szewc pierwsze lakierki. Piękne i błyszczące ale bez podeszwy, bo majster myślał, że w takim cudzie to tylko karetą jeździć można.

Pływalni na Łazienkowskiej nadano piękny wygląd. Włożono w to fortunę, a o najważniejszej rzeczy zmianie wody zapomniano. Ale mimo wszystko rzecz uważana za zbytek okazała się bardzo intratnem przedsiębiorstwem. Nawet tak korzystnem, że przystąpiono do budowy drugiej. Ma powstać już w roku przyszłym i napewno będzie przynosić dochody.

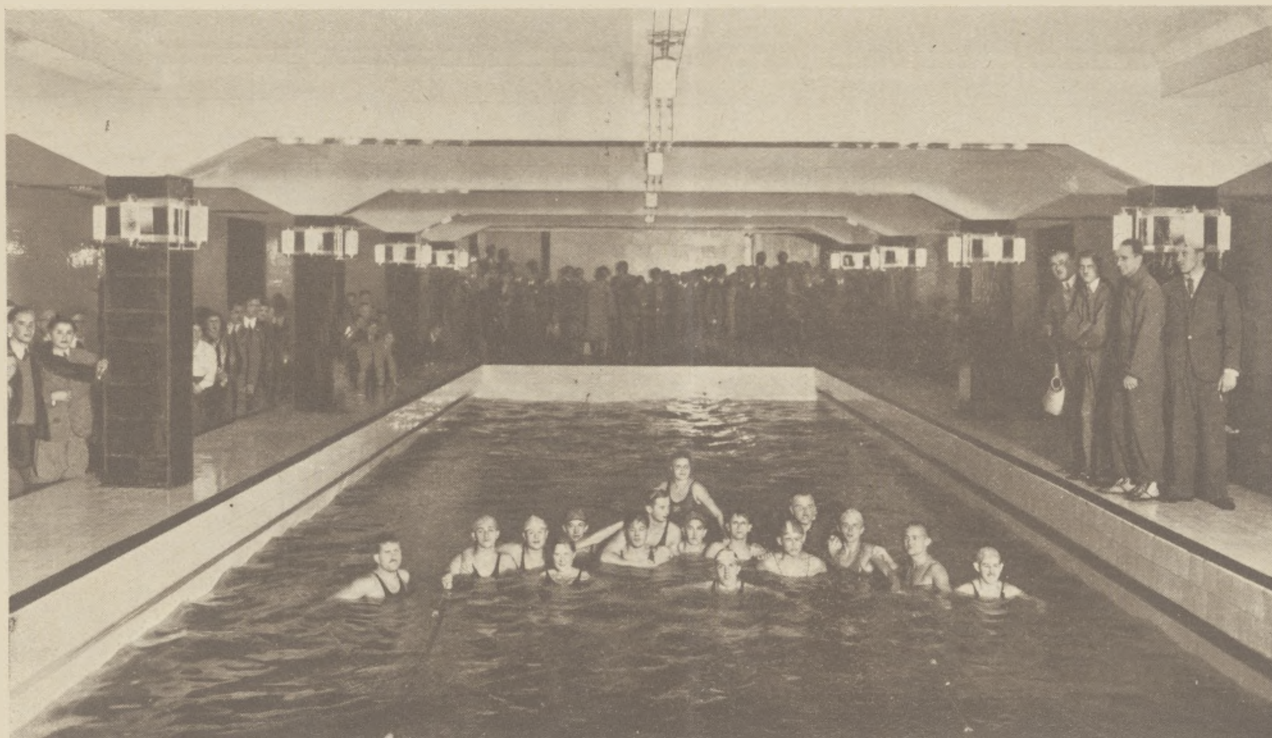
Cóż z tego, że nawet taki Zgierz wybudował już od dwu lat basen zimowy, że Kraków od kilku lat korzysta cały niemal rok z pływalni Y. M. C. A., że pływalnie mają Katowice i Siemianowice — stolica wciąż nie ma dla pływaków zrozumienia. Gorzej jeszcze. Bo gdy wybudowano w roku zeszłym dwie naraz pływalnie niebyło komu ich uruchomić, a gdy wreszcie w zimie zdecydowano się na otwarcie przyniosły deficyt, gdyż były nieumiejętnie zorganizowane.

Pływalnię w Domu Akademickim, prawda że nieprzepisową i mało nadającą się do zawodów, tem nie mniej, do treningów zupełnie dostateczną, otwiera się dopiero teraz, gdy powinna czynną być od trzech prawie miesięcy. Zresztą otworzył ją A. Z. S. własnemi pieniędzmi. Gdyby nie to, Warszawa pozostałaby z pływalniami... bez wody! (Kasa Chorych dawno już zrezygnowała z pływalni).

A jakby na urągowisko w Warszawie mieści się Polski Związek Pływacki.

Tymczasem Związek Pływacki uważa za zbędne zajmowanie się sprawami... pływackiemi. Bo mimo podniesienia się klasy pływaków, mimo kilku wspaniałych jak na nas rekordów, mimo dużej popularności pływania, mimo wszystko to, przysłowiony ugór sportu pływackiego zaledwie został podorany. Czeka teraz na zasiew — i czeka długo. Siewcą ma być P. Z. P., ale jak dotąd spoczywa po trudach orania — spoczywa długo. Oby nie za długo! Oby z takim nakładem pracy wzruszona rola nie przeszła znów w niepłodne ugory...

K. Bocheński.



Pływalnia zimowa w Domu Akademickim w Warszawie.

Miss Helen Madison

Nazwisko do niedawna zupełnie nieznane w sporcie pływackim.

Helen Madison ma rekordy nie tylko w pływaniu, lecz i w szybkości z jaką zdobyła tytuł pierwszej pływaczki świata. Nawet na Amerykę karjera, to niezwykła.

W m. Seattle (Stan Waszyngton) przed trzema laty szkoła Lincoln zorganizowała zawody pływackie w basenie Crystal-Hall. Wśród wielu zawodników stanęła na starcie, drobna 14-letnia osóbka, aby spróbować swych wątłych sił. Jakież było zdziwienie, gdy „dziecina" wygrała wszystkie biegi, w których startowała. Lecz zwycięstwo nad płcią słabą nie zadowoliło snać ambicji młodej pływaczki, poprosiła o prawo startu w konkurencji z chłopcami. I o dziwo i tu wygrała z łatwością.

Wyczyn nieznanej pływaczki nie przeszedł bez echa. Dyrektor pływalni, znany trener M. Daughters dostrzegł i ocenił talent przyszłej rekordzistki świata.

Helen Madison nie pływała jeszcze wówczas swym pięknym, energicznym crawlem. Mimo, iż od szóstego roku życia umiała pływać, nie przyswoiła sobie żadnego ze stylów sportowych. Jej sposób pływania na boku, był swoistą kombinacją over-arma z trudgeonem. M. Daughters postanowił swą młodą uczennice nauczyć crawla. Łatwość z jaką przyswoiła sobie tajniki stylu, szybkość z jaką czyniła postępy, wprowadziła w zdumienie trenera. Mimo młodego wieku, słabej budowy i jeszcze niezbyt opanowanej techniki zaczyna bić rekordy swego okręgu (Nord East Pacific), o wiele sekund.

W lecie roku 1929, atakuje rekord na 100 mtr., — brak jej tylko sekundy! Zacni obywatele Scattle spoglądają na stoppery zdumieni; nie chcą wierzyć, by ktoś mógł płynąć z taką szybkością. W sierpniu 1929 roku przez Seattle przejeżdżała mistrzyni olimpijska Miss Osipowicz, — wracała ona z Mistrzostw Ameryki w Honolulu. Urządzono mecz dwóch pływaczek. H. Madison choć prowadzi bieg do ostatniego nawrotu (zawody odbywały się na małym basenie) — przegrywa „o włos", wskutek braku rutyny, na finiszu. Osipowicz wyrównywa swój własny rekord!

Triumfalny pochód Helen Madison rozpoczyna się z końcem 1930 roku. Masakrę rekordów rozpoczyna zwycięstwo nad Józefiną Mac Kim w Los Angeles. Na 220 yardów ma młoda rekordzistka 2:39 .

Dziś po roku H. Madison posiada 12 rekordów świata, (na ogólną liczbę 16)! W ręku jej jest 26 rekordów amerykańskich. Wyjeżdżając z Seattle do New-Jorku miała tylko 4 rekordy, startując po drodze bije siedem innych.

Na Mistrzostwa Ameryki na Florydę, Miss H. Madison, zjawia się jako nieznana pływaczka. Startując w barwach w Washington A. C. i zwycięża z łatwością w każdym biegu, bijac największe sławy światowego pływactwa.

Obecnie dzierży w swym ręku Mistrzostwa Ameryki w stylu dowolnym na wszystkich dystansach! Jest zarówno mistrzynią pływalni letnich jak i krytych! Każdy start przynosi nowy wspaniały rekord.I nie jest to jej ostatnie słowo! Młody wiek, szybkość z jaką rozprawia się z rekordami — świadczy, że Helen Madison, daleką jest od kresu swych możliwości.

Dziś jest pierwszą pływaczką świata i ogólną faworytką na Los Angeles. Czy jednak zostanie również łatwo Mistrzynią Olimpijską, jak rekordzistką świata? — czy rok 1932 będzie dla niej rokiem żniwa rekordów?

Na to trudno dziś odpowiedzieć. Dotychczasowa historja Igrzysk nauczyła nas ostrożności. Faworyci nie zawsze zwyciężają. Dzieli nas jeszcze niemal rok czasu, — dużo się może zmienić. A nuż ujrzymy jakąś rewelację — nową gwiazdę, jeszcze bardziej błyskotliwą, niespodzianą...

—*y*.

Bracia żeglarze

WEDŁUG K. BRUNSA

Jest ich dwóch braci.

Podobni są, jak dzień do nocy, jak denatur do szampana, chart do jamnika, lub jak polka „Ojra"do IX Symfonji Bethovena.

Jeden z nich lubi sensację!—skoncentrowaną energję życiową, walkę i fenomenalne wyczyny. Drugi:—„aby spokojnie, aby się nie wzruszać".

Dla jednego niema ożaglowania dość wielkiego. Odżaglował wprawdzie już ze sześć masztów, swej wyścigowej muszli, a mimo to, zgrzytając zębami, zamawia nowy takelunek, dowiedziawszy się, że jego konkurent regatowy ma się zjawić na starcie, z nowem, jeszcze nie widzianem, najnowszem warjactwem aerodynamicznem.

Drugi, do swej turystycznej krypy, chce ożaglowania łatwego, małego. Na nowe szmatki decyduje się wówczas gdy z żagli zostaną same lejki, gdy zczerniałe, połatane stare płótna rozlecą się w strzępy.

Regatowiec chciałby co wiosny mieć nową linijkę regatową, (naturalnie sprzeda ją, za byle co już na jesieni).

Turysta starzeje się wraz z swym pływającym domem. Bywały wypadki, że po szczęśliwie przeżeglowanych dziesiątkach lat, obchodzi wraz ze swą krypą srebrne wesele.

Wyścigówka — to próżna muszla. Za umeblowanie najwyżej ma korkociąg. Nawet przypadkowo zapomniany jedyny kieliszek idzie za burtę przed strzałem startowym.

Krążownik, jest sześciopokojowem burżujskiem mieszkaniem, (w formacie kieszonkowym). Z gramofonem, radjem, kanarkiem, — wszelkiemi gospodarskiemi naczyniami i wygodami; — gdyż dobry ojczulek i mąż chce widzieć koło siebie całe potomstwo, nie licząc przodków z prababką włącznie.

Wyścigowiec jest również często dobrym „pater familias", jednakże oddycha z ulgą dopiero wtedy, gdy odprowadzi całą rodzinę na pociąg, lub spławi w inny sposób.

W pauzie między regatami, przyjeżdża do niej i opowiada zdumionym o swych bohaterskich wyczynach — (każe również zreperować swój stopper). Bardzo lubi fachowe pogadanki w gronie żeglarzy, przy dobrej „kropelce" — zaczyna jak zwykle ta: „O tu jest znak zwrotny. a ja — ....".

Turysta czuje się dopiero wtedy w swoim sosie gdy w miłą pogodę krąży o X mil od lądu, gdy widzi jako jedyne urozmaicenie krajobrazu mewy, samotną fokę, lub delfina.

Tak różni, mimo braterstwa, mają i cechy wspólne, — Pogardzają chodzeniem na piechotę („nie jestem indjaninem").

Wymyślać, urągać umieją płynnie, biegle i fachowo; (nigdy tak źle sobie nie myślą — mają poczciwe żeglarskie serca!).

Za swą załogę dadzą się zabić, są dumni ze swej bandery i klubu!

Widoku alkoholu nie znoszą! — gdzie tylko zoczą choć kropelkę niszczą jak najdokładniej.

Corocznie, gdy przebrzmi echo ostatniego strzału startowego, po uroczystem zakończeniu sezonu, przy porannej bufetowej pogadance, zaczynają się rozważania na temat: „Czas, aby jacht zmienił właściciela!".

Po żmudnych dyskusjach budzi się niejeden na drugi dzień (ściślej tego samego dnia) — zdziwiony, jako właściciel jachtu, którego jeszcze nie widział na oczy.

Inni po dokładnie spędzonej uroczystości, deklamując „być, albo nie być" projektują co i jak trzeba zbudować na przyszły sezon. Tu następują najgenjalniejsze plany i projekty.

Biedny konstruktor, jest zamęczany żądaniami, zasypywany genjalnemi ideami, dotyczącemi budowy jachtu szybkiego jak pościgowy „Spad", obszernego jak koń trojański, który prócz tego ma mieć wszystkie zalety wyścigowej piętnastki i wielkomorskiego kecza.

Nie wzruszaj się tem miły konstruktorze! Buduj dalej krążowniki dzielne na morzu, wygodne dla załogi, — nie potrzebują być one muszlą regatową — buduj też szybkie i zwrotne jachty regatowe.

Znasz, synów Neptuna! — i wiesz, że różnią się także między sobą jak prosty marynarski denaturat i Veuve Cliquot.

Old. Sailor.



Zwycięska ósemka Klubu Wioślarskiego „Syrena", która na regatach długodystansowych w Warszawie zdobyła po raz drugi puhar „Sportu Wodnego".

Pod prąd i z prądem.



W lipcu 1931 r. czterej wioślarze: Edward Bieńkowski, Zenon Bieńkowski, Marjan Dałkiewicz i Bronisław Kamiński z Klubu Wioślarskiego „Wisła” w Warszawie, odbyli wycieczkę łodzią (dwójką podwójną turystyczną „Poznanianką”), z Warszawy do Augustowa i z powrotem.

Wycieczka ta niewątpliwie należy do rzadziej spotykanych wyczynów naszych wioślarzy na niwie turystycznej, gdyż obrany szlak wodny został przemierzony wiosłami w obie strony, nasampród pod prąd (Narwią i Biebrzą), a potem z prądem.

Aczkolwiek zarówno z krajoznawczego jak i turystycznego punktu widzenia, wycieczki takie są niepraktyczne, gdyż absorbując wiele czasu i energji ukazują dwa razy jeden i ten sam szlak, to jednak świadczą o dużej ambicji sportowej, wytrzymałości i zacięciu uczestników, nie uznających transportu kolejowego łodzi, a natomiast wyznających zasadę, że wioślarz, wyruszając na wycieczkę, winien w swej łódce odbić i przybić do pomostu klubowego.

Poniżej podaję w obszernem streszczeniu dzienniczek zapisywany przez uczestnika d-ha Marjana Dałkiewicza.

Wł. Grzelak.

Na ulubionej naszej łodzi — humory świetne. Wesoło płyniemy do Modlina, huśtając się kilkakrotnie na falach, wzniecanych przez krążące statki. Wszystko dziś pierwsze... Pierwsza wieczerza podróżna, pierwszy nocleg, oczywiście w Wojskowym Klubie Wioślarskim w Modlinie, bo przecież dopiero o godzinie 5-tej po poł. wyruszyliśmy z Warszawy nazajutrz — pierwszy obiad, sporządzony na łonie przyrody i smakujący wyśmienicie.

Po całodziennej, ciężkiej „orce” dotarliśmy wieczorem aż do Pułtuska. Przystań miejscowego Towarzystwa Wioślarskiego przygarnęła pod dach wędrowców, zdrożonych przebyciem rekordowej liczby 65 kilometrów pod prąd i pod wiatr. Jakże się słodko i twardo spało!

Trzeciego dnia — zakupy prowiantów, zwiedzanie miasta, wywierającego bardzo miłe wrażenie, a po obiedzie — odjazd! Płyniemy już sami, bez balastu... Coprawda, z żoną było bardzo wygodnie, warzyła strawę, smutna była rozłąka, ale... baba z łodzi — wioślarzom lżej! Płyniemy więc w tempie regatowem. A przed zachodem słońca — lądujemy. Połowa załogi otrzymała nominację na „Wielkich obożnych” i zabrała się ochoczo do budowy namiotu, druga połowa tymczasem gotuje kolację. Kartofle z piaskiem, mizerja ze żwirkiem — jakże smakowały! Ale kucharze zobowiązali się, że na drugi raz piasek i żwir „podadzą do stołu” oddzielnie.

W namiocie, jak zwykle — twardo, ciepło, bo ciasno, a potem — nierówne walki z komarami. Zrana — śniadanie wyborne, złożone z ryb, złowionych własnoręcznie przez wytrawnego wędkarza kol. E. Bieńkowskiego. Chłodny deszcz więzi nas pod namiotem. Załodze nie sporo wsiadać do łodzi. Czas biegnie, deszcz kropi, wreszcie przemogliśmy się i jazda dalej: sforsować Rożan! Rybacy miejscowi zapewniają, że dzieli nas tylko 9 kilometrów, ale wiemy ile są warte takie zapewnienia... Rypiemy na całego — jak prawdziwi „wyrypiarze”, co to zawsze chcą być na przedzie, nawet wówczas, kiedy nie mają kogo wyprzedzać...

Piąty z kolei nocleg wypadł poniżej Rożana, w namiocie, na piaszczystej, wilgotnej wysepce i należał do nader przykrych; zerwaliśmy się więc skoro świt i dalej-że do łodzi, do wioseł, do steru! Rumając wciąż pod wiatr, dotarliśmy po południu do Ostrołęki, w której zamierzaliśmy zatrzymać się na krótko. Okazało się jednak, że do miasta posiadającego tak gościnne Towarzystwo Wioślarskie, jak Ostrołęka, łatwiej jest przyjechać, niż odjechać. Rozbrojeni serdecznem przyjęciem, chętnie zastosowaliśmy swój program do życzeń czarujących gospodarzy. Prezes, naczelnik przystani, sekretarz, — cały Zarząd i członkowie zasłużyli na wielokrotny gromki okrzyk wioślarskiej wdzięczności — Czołem!

Zwiedzamy miasto i okoliczne pole bitwy, odpłynęliśmy następnego dnia, odprowadzeni przez uprzejmych gospodarzy aż poza Laskowiec, w którym urządzono pożegnalną „rybkę”. Smakowała wybornie, bo pitrasił ją nasz wędrowny kucharz, a że była trochę przypalona, — tego się nie bierze pod uwagę. Po południu lądujemy w Nowogrodzie, celem uzupełnienia mocno przerzedzonych zapasów prowjantowych, poczem tyramy dalej, jak stare wygi, łudząc się nadzieją, że uda nam się pod wieczór osiągnąć Łomżę. Ale gdzietam! Zmrok zapadł, a Łomży jak nie widać, tak nie widać! Radzi - nieradzi, a właściwie nieradzi wylądowaliśmy na terenie zgoła fatalnym, bo pod wysokim brzegiem, wśród nieprzebytej dżungli „oleandrów”. Tak to bywa, kiedy się zbyt wysoko mierzy, a raczej zbyt daleko dąży i nie zdąża, a tymczasem ciemność zapadnie... Szukaj wtedy odpowiedniego miejsca na obozowisko!

Więc pociemku rozbijano namiot, pociemku gotowano kolację. Choć nie należy się rozpisywać o jedzeniu, to jednakże tej kolacji — poświęcę słów kilka. Składała się ze sporego kawałka kiełbasy i naparstka „miodówki”, której ociupinkę wozimy ze sobą — na wszelki wypadek. Ale prawdziwie reklamowem daniem” była zupa, będąca patentowanym specjałem naszego kucharza. On jeden tylko umiał ją przyprawić, nas pytał tylko, jaką chcemy: na słodko, czy kwaśno? Jako asystent kucharza, zmywający naczynia, liznąłem coś - niecoś z wiedzy tajemnej swego mistrza. Wiem, że do tej zupy kładł trochę makaronu, jakieś grzybki, pomidory, maggi i wiele innych niezbadanych przypraw, ale też co to była za zupa! Poemat! Cała załoga przepadała za tym rarytasem, zwąc go pieszczotliwie „kindybał”.

Kwaśne jeżyny, w które obfitował pobliski teren posłużyły nam za deser, i niebawem przyczyniły się do skwaszenia naszych min. Trzeba było nazajutrz wypić dobrą porcję czarnej kawy, odpowiednio zgęszczonej, aby z dawnym humorem ruszyć do niedalekiej Łomży. Po kilku godzinach wiosłowania jakiś zakręt Narwi odsłonił miasto, malowniczo rozłożone na wzgórzu. „Poznanianka” dotknęła przystani Łomżyńskiego Towarzystwa Wioślarskiego, a jej załoga wysypała się na pomost z mocnem postanowieniem powrotu na swe miejsca w łodzi zaraz po najbliższym wschodzie słońca. Ale nie będąc jeszcze nigdy w Łomży, — nie wiedziała o sparafrazowanem przysłowiu, że wioślarze warszawscy strzelają, a łomżyńscy kule noszą. Rozpoczęła się więc, nieprzewidziana w programie a nie zapomniana w naszych sercach, długa i serdeczna gościna. Oprowadzanie po mieście i zwiedzanie jego zabytków, a potem wieczerza z szeregiem toastów i mówek na temat współżycia międzyklubowego, w nastroju, który chyba tylko wioślarze łomżyńscy potrafią wytworzyć.

Następnego dnia, w niedzielę miał się odbyć zapowiedziany uprzednio turniej wioślarski, obejmujący 4 biegi starszych i 9 biegów młodszych; o odjeździe nie mogło więc być mowy, tembardziej, że kochani gospodarze, pomimo naszych usilnych „wymigiwań" wciągnęli nas do owego turnieju, czyniąc z udziału naszego „przebój" całego programu. „Uświetniliśmy" więc zawody, startując dwukrotnie „na warjata" i oczywiście dwukrotnie odbierając cięgi od gospodarzy. Wiadomo: w szlachetnej rywalizacji na torze regatowym nie decyduje o pierwszeństwie gościnność... Organizacja turnieju dobra, materjał wioślarski — pierwszorzędny, technika, z powodu braku instruktora — średnia.

Po zawodach Zarząd Łomżyńskiego Towarzystwa wydał bankiet na cześć Klubu Wioślarskiego „Wisła" w Warszawie, reprezentowanego przez nas. Wzięła w nim udział poza najwybitniejszymi członkami klubu, elita towarzyska Łomży z Prezydentem miasta na czele. Z pośród wielu przemówień, największe wrażenie wywarły mowy prezesa Ł. T. W. d-ha Cygańskiego i naczelnika przystani d-ha Krauzego. W pięknych i z serca płynących słowach wyrazili oni uznanie dla wyczynów „Wisły" , dokonanych w ciągu ostatnich kilku lat, zwłaszcza na odcinku turystyki wodnej. Krótko i szczerze odpowiedział kol. E. Bieńkowski, wznosząc okrzyk na cześć wioślarzy łomżyńskich. Uroczystość zakończono pieśnią: „Wisło, Wisło, matko nasza" śpiewaną przez kol. E. Bieńkowskiego, przy chóralnym wtórze refrenu. Opuszczaliśmy gościnne progi pod silnem wrażeniem, odnowionej przyjaźni, łączącej dwa kluby z nad Narwi ' z nad Wisły.

Komfortowy nocleg przygotował nam v.-prezes Ł. T. W. d-h Kulczyński w swej sypialni, sam lokując się w stołowym. Po smacznem śniadaniu u v.-prezesa, trzeciego dnia, opuszczamy wreszcie Łomżę. Wiosłujemy wypoczęci, w różowych humorach, lecz i rozleniwieni... Nikt się nie przyznaje, że go Łomża zepsuła, ale to widać! Co chwila któryś spławia wiosła, rzekomo dla podziwiania piękna mijanych krajobrazów. A tu przecież prąd łodzi nie ponosi, a znosi. Trzeba rumać!

Widoki istotnie są piękne. Nie wiadomo na co patrzeć. Czy na wioskę z chatami niby jaskółcze gniazda, przylepionemi do stoku wzgórza, czy na dwór, świetnie zagospodarowany, a otoczony pięknemi lasami i tworzący obraz jedyny nad Narwią. Tymczasem pogoda się zepsuła i zeszpeciła wspaniały krajobraz. Zaczął padać „kapuśniaczek" i nękał nas do samego wieczora. A rzeka wiła się coraz fantastyczniej. O zmierzchu minęliśmy Wiznę i nieco poniżej rozłożyliśmy namiot pod kupą siana. Wybór został niewątpliwie dokonany pod wpływem wygód doznanych w Łomży. Wymagania nasze wzrosły, staliśmy się wrażliwsi na chłód, wilgoć i jakość posłania... Dzięki nabytej już rutynie wszelkie czynności, odbywające się między wylądowaniem a ułożeniem się do snu idą znacznie sprawniej.

Jedenastego dnia podróży wpłynęliśmy w łożysko Biebrzy. Inna rzeka — inne widoki. Narazie prąd jej wydał nam się jakby słabszy. Krótka jednak była radość. Wkrótce przekonaliśmy się, że Biebrza — choć rzeka bagnista, ma prąd zgoła górski. Wije się ona niezwykle ostrą serpentyną przez cały ciąg swego biegu, a ponieważ koryto ma dość wąskie i głębokie, więc zwłaszcza na skrętach prąd rwie, niby na Dunajcu... Brzegi płaskie, monotonne, porosłe wikliną i sitowiem, mogłyby być rajem dla myśliwych — tyle tu wszelkiego ptactwa wodnego: kaczek, gęsi, kurek, których całe stadka zrywają się niemal z pod wio-



Fragmenty z wycieczki wioślarskiej Warszawa — Augustów — Warszawa. W rogu z lewej uczestnicy wyprawy.

seł. Spotyka się także wydry: uciekają przed łodzią drobnemi susami, lub kryją się, dając nura do wody.

Noclegi nad Biebrzą są nader przykre. Teren grząski, pokryty namułem po wiosennym wylewie, ugina się pod stopami. A nad nim unoszą się miljony komarów i krwiożerczych bąków, tnących żądłem nawet skroś koszulki. Radziliśmy sobie jako - tako, rozbierając na podściółkę całe kopy siana i rozpalając ogniska przeciwkomarowe.

Jakże męczy i nuży jazda na Biebrzy pod prąd! Po dwudniowem prawie wiosłowaniu docieramy wreszcie do Ossowca. Krótki postój celem zaopatrzenia się w żywność i jazda dalej z zamiarem rychłego pożegnania Biebrzy. Niestety! Szkaradna rzeka dłuży się niewiarogodnie i jeszcze raz trzeba nad jej brzegiem rozbić nasz doskonały, szczelny namiot. Dopiero nazajutrz około południa dopłynęliśmy do kanału, a następnie do pierwszej szluzy — Dębowo.

Szluzowanie, dzięki trafnemu wyborowi kol. B. Kamińskiego „starszym szluzowym", odbyło się sprawnie, zarówno przy pierwszej szluzie, jak też przy następnych, za opłatą 28 groszy każdorazowo. Podniesieni o 4 metry wzwyż, płyniemy kanałem wyprostowanym, o powierzchni gładkiej i brzegach płaskich. Nieco dalej widać w blaskach słońca teren falisty, porosły świerkowym lasem.

Za drugą szluzą pod Borkami, krajobraz jeszcze piękniejszy. Żeby go ujrzeć — warto przyjechać. Posuwamy się wzdłuż pasem wodnym, niby pasem srebrnej lamy, zwężającym się w dalekiej perspektywie, zakończonej ciemnym punkcikiem. To nowa szluza, odległa o 7 klm. Brzegi olśniewają wspaniałą szachownicą pól, łąk i lasów. Wiosłowanie w tych warunkach wydaje się rzeczą arcyprzyjemną.

Po południu, minąwszy ostatnią szluzę, znaleźliśmy się na progu Augustowa. Chwilowy postój na przystani Ligi Morskiej i Kolonjalnej, poczem objazd i podziwianie jeziora Necko. Suche powietrze, las i ogromna przestrzeń pięknej wody stwarzają idealne warunki do założenia tutaj wielkiego osiedla wioślarskiego.

Zdala od Augustowa, prezentującego się dość okazale, w zdrowym, sosnowym lesie nad jeziorem, postawiliśmy namiot. W takiem otoczeniu i „kindybał" smakował jeszcze lepiej i spało się znakomicie. Ranek odsłonił cudowny widok nad jeziorem. Promienie słońca igrały z oparami, unoszącemi się nad tonią, tworząc zjawisko niezwykłe, mieniące się wszystkiemi kolorami tęczy.

Krańcowy punkt wycieczki — osiągnięty. Jeszcze tylko przejażdżka po jeziorach: Białem i Raspudzie, również pięknych, jak Necko, przejażdżka, wywołująca bezustanne zachwyty, poczem powrót. Zakupy prowiantów w mieście, załatwienie ryczałtowe formalności, związanych ze szluzowaniem i... jazda na „całą parę". „Starszy szluzowy" zdołał już zapoznać się z mechanizmami szluz, to też szluzuje własnoręcznie i szybko. Droga powrotna nie nuży, przeciwnie, interesuje pozostawionemi śladami postojów i szybszem tempem. Często odsłaniał się jakiś widok, wcale poprzednio nie z uważony. Łódź na wartkim prądzie mknie bez porównania prędzej. Raz jeszcze zawitaliśmy do Łomży na gościnną wieczerzę i nocleg. Raz jeszcze gościła nas Ostrołęka, której kilka załóg miało nawet wyjechać na nasze spotkanie, gdybyśmy byli nie przyjechali wcześniej niż się nas spodziewano. Zato odbyła się miła ceremonja zamiany flag klubowych i druhowie ostrołęccy znów na każdym niemal kroku składali dowody swej gościnności.

Napawając się malowniczemi brzegami Narwi, odmierzaliśmy wiosłami niezmordowanie przestrzeń, dzielącą nas jeszcze od Wisły. Osiemnastego dnia wędrówki pod wieczór, zaskoczyła nas pod Lubielem gwałtowna burza, przed którą zaledwie zdążyliśmy schronić się do namiotu. Już się zmierzchało, kiedy na rzece spostrzegliśmy jakąś sylwetkę w łodzi „na pych", płynącej ku nam. Widok nas zaintrygował, lecz wkrótce się wyjaśnił. Dzielnym wioślarzem, wiosłującym wśród deszczu i ciemności, rozświetlanych błyskawicami, był proboszcz miejscowy ks. Werszel. Zacny kapłan zauważył nas, lądujących przed burzą i w szlachetnej trosce o los, zupełnie zresztą nieznanych sobie, wioślarzy, dosiadł swej pychówki i przypłynął, aby nas zaprosić do siebie na nocleg. Tymczasem zdążyliśmy już całkowicie ulokować się w swoim namiocie, a deszcz wciąż padał. Znaleźliśmy się w sytuacji zgoła jak ów przysłowiowy osiołek: I to pachnie i to nęci. Pachniało wygodne spanie na sianku Ks. Proboszcza, ale zato wcale nie nęciło zwijanie namiotu w taką ulewę. Podziękowaliśmy tedy najuprzejmiej ks. Proboszczowi za ten wzruszający dowód miłości bliźniego i wyraziliśmy chęć odwiedzenia go nazajutrz.

Zrana deszcz lał, jak z cebra. Zanosiło się wyraźnie na trzydniową „morkę". Odjazd trzeba było odłożyć „ad calendas graecas" i narazie zająć się innemi sprawami, jak naprzykład uzupełnieniem prowjantów. Dwaj wioślarze popłynęli łódką na tamten brzeg po zakupy. Odwiedzili też Ks. Proboszcza, który ich obficie zaopatrzył w mleko i w bochen wspaniałego chleba. Niebawem przypłynął sam swą pychówką i rozgościł się w naszym namiocie, poczem zabrał nas z namiotem, przeciekającym już trochę i „dobytkiem" na cały, zadeszczony dzień, do siebie. W gościnie u Ks. Proboszcza czas upłynął bardzo przyjemnie, aż do następnego ranka. Serdecznie żegnani przez naszego dobrodzieja, ruszyliśmy do niedalekiego Pułtuska, a po obiedzie do Zegrza.

Dwudziesty pierwszy dzień naszej wędrówki był zarazem ostatnim. Spłynąwszy Narwią ostatnie 35 klm. znaleźliśmy się na kochanej Wisełce — tej starej znajomej, szarej, a jednak powabnej i pełnej uroku — królowej polskich rzek, — przechowującej dla wioślarzy nieprzebraną skarbnicę wciąż nowych wrażeń i emocyj.

Po wielu godzinach wiosłowania pod prąd, „Poznanianka" dotarła wreszcie do pomostu klubowego.

W. G.



Z wycieczki jachtu „Jurand".
Wyładowywanie ryb przez rybaków w Skagen.

Opowieść jachtowa z nad polskiego morza

Od ostatniego zagranicznego listu, Redaktor był zgryziony. Włóczył się wzdłuż wybrzeża, dumał wieczorami — czegoś nadaremnie wyglądał. Koledzy z kursu twierdzili, że wzdycha po nocach. „Albo się kocha, albo coś z żołądkiem” — stawiał djagnozę Franek, łazik i znawca dusz w jednej osobie. Jak było trudno powiedzieć. Jedno pewne Redaktor, coś planował. Prowadził tajemnicze narady z małym kapitanem, werbował chętnych z pośród dziwaków — żerboltów.

Szykowano wyprawę.

Wszystkiemu winne były przepisy. By uzyskać dyplom kapitański, trzeba przepłynąć poza 55⁰ równoleżnik. „Żerbolty” rwali się na morze. Dość mieli szkolnych jazd na szlaku Gdynia-port Kamienna Góra.

Ciągnęło ich morze. Przygoda. Redaktor miał prócz tego i inne powody. Daleka dziewczyna z północy, o zimnych stalowych oczach zadrwiła z niego, nazwała go deklamatorem, niezdolnym do bohaterstwa czynu.

Otóż pokaże!

Roboty było dość. Jacht „Silny” zwał się tak chyba przez ironję. Było to stare zdeklasowane pudło. Szlachetne linje zdradzały wprawdzie rasę i dawną świetność. Mało dziś z niej zostało! Ledwo trzymał się kupy. Okucia żabki siedziały w zbutwiałem drzewie jak w maśle Przerdzewiałe wanty rwały się jak pakuły.

„Żerbolty” zawzięli się. Opatrywali jacht od kila do topu. Zmieniono wanty, sztagi, dano nowe fały, zaopatrzono w silne stalowe ściągacze, wymieniono pęknięty bom, opatrzono i pomalowano pudło. „Silny” wracał do dawnej piękności. Tylko te żagle... Grot jeszcze jaki-taki, ale foki!... pokryte rojem czarnych puncików, zbutwiałe nie obiecywały wiele. A na nowe już pieniędzy nie było.

Sędzia zrobił wyprawę do Gdańska po sprzęt nawigacyjny. Nabył wprawdzie, gdzieś na Fischmarku, stary „Cod” gruby jak mszał, wykombinował mapę. Nie mógł jednak znikąd zdobyć busoli.

Franek markotny, ze złością obserwował przygotowania. Od dni paru nie miał do kogo otworzyć gęby. Zwykle wygadany Sędzia, z zawodu pyskaty Redaktor, od czasu wyprawy zaniemówili. Franek, więc był zły.

— „Żerbolty”, znów coś szykują! — mruczał —nie żre to, nie popije, do miasta nie skoczy,—tylko liny splata, żagle szyje, latarnie opatruje!—Chorobnie głupi naród!— Ja bo mam w tych sprawach całkiem inny pomyślunek i zasadę. Letniaki nad morzem — owszem, kąpać się — dobrze robi na humory i apetyt. — Wypocić się, też nie szkodzi na atretyzm, — na plaży poflirtować — korzyść dla ciała i ducha jest. — Ale tłuc się jak te żerbolty, po próżnicy na morzu, szukać towarzystwa między bałwanami?!

Tfu! Takie gorliwe drańtstwo. Matka jednego z drugim głupim, a do roboty podłej chętnym porodziła! Wodę bejcowaną radzi piją, powrósła kręcą, choć to nie inteligencji rzecz, liny pleść!

A najgorszy gorliwiec Profesor. Zamiast w pięknej okolicy, pod drzewkami śmierci czekać, pcha się do słonej wody, aby się lepiej konserwować, — mówi! Tfu! Stary, a głupi! — Choć i sameś bratku, nie wiele mądrzejszy! Przyjechałem na kurs — myślę kryzys — będzie oszczędność, letniaki; — a bez tych pentaków w „ciężkie robote” wpadłem. Morze! Boże! Morze! Każdy ciągle wzdycha, gały w niebo — postawi, jakby miał w grdyce chorobę! Tfy! Cholery na nich niema! — Zamilkł z irytacji.

Sędzia który cierpliwie od dłuższego czasu nadsłuchiwał Franka nie wytrzymał:

— No Franuś nie przesadzaj: na plażę chodzisz, jeść dostajesz, a tyci powrózełka nie spletłeś!

— Nie robie, to nie robie, nie mówie, że robie, — ale to nie jest prawidłowo, — replikował Franek. — Obyczaje się w narodzie psują, gdy porządek rzeczy trza obchodzić. Na plaże nie puszczają, — Sam chodzę, — w tem jest zło. I to mnie boli. Żryć słusznie mówisz dają, ale sam osobiście, na godzinę musisz być, — z plaży trza wracać. Przymus, bezprawie jest — mówię.

Skończył zadyszany, splunął i powlókł się do szopy na obiad. Przy stole panował gwar, szczęk łyżek, mlaskanie, śmiechy.

Brakło tylko żerboltów. Franek przysiadł na boku. Nie lubił bowiem harcerzy — „szczeniaków”. Opuszczony, samotny, rozpoczął przerwany monolog.

— Drańtstwo zwyrodniałe, — mruczał, — nie pamięta, że prawo natury każe w pore zjeść, nie mówię już o wychowaniu, co wymaga by na czas na obiad być.

Dalszą tyradę, utopił w zupie. Tymczasem we drzwiach ukazali się żerbolty. Przodem gestykulując dreptał rozgorączkowany Profesor. Redaktor spierał się, jak zwykle z Sędzią. Reszta człapała z tyłu.

— Bez busoli, synku, nie pojedziesz! — perswadował Sędzia.

— A pojadę! — bronił się Redaktor. — Mam kompasik (prawda kiepski), ale zawsze kompasik! Do 55⁰ nie daleko. Przy wietrze SW, siła 5, odrobimy drogę migiem. Nie zabłądzimy, od Rozewia pójdziemy na Nord, po 55⁰ na Ost, aż ku niemieckim brzegom, i wzdłuż latarń, znaków wrócimy do Gdyni.

— Na swoim kompasiku możesz pogwizdać — przyciął Sędzia, robiąc aluzję do busolki wielkości 10 groszy wprawionej w redaktorską świstawkę.

— Proszę zważyć panowie, że Wikingowie nie znając kompasu trafili do Ameryki, — wykładał uczenie profesor. — Właśnie w roku bieżącym cała Islandja obchodzi 1000-lecie...

Sędzia przerwał zniecierpliwiony:

— Róbcie jak chcecie, bez busoli nie jadę. Żeglarstwo — zgoda, ale awantura, warjactwo nigdy! Wogóle szaleństwem jest puszczać się na tem rozklekotanem pudle w morze, choć na parę godzin. Przy pierwszym szkwale pójdą żagle, nawalą sztagi, wanty! Co dalej? Na patykach daleko nie zajedziesz! A oporządzenie! Bez winceraty, schorowany, zziębnięty, mokry, stracisz na minie! Emocje cię nie nakarmią, ani ogrzeją choćbyś w niebogłosy darł się: Ratunku! S. O. S.! S. O. S.!

— Panowie, nam nie wolno rezygnować. Głos Żeromskiego nie może pozostać bez echa, — perorował Profesor.

— Milczeć i jeść! — ryknął Franek. — Humor człowiekowi Nordami psują, mordy zatracone! Przy obiedzie, jak w kościele, chamy bez wychowania!

Żerbolty przytłoczeni gromkiemi argumentami Franka utopili nos w zimnej zupie. Jedli bez entuzjazmu.

Franek znów zaczął:

— Rozumiem powiedzieć coś tłustego na okrasę, (zatyka w gardle tak dają jałowo) — ale ciągle mleć ozorem nord, ost ten ost, sud, sud, west, a weźże raz peleng pentaku na swój bebech, byś sobie łyżką oka nie wybił!

Rozmowa się nie kleiła. Nikt nie chciał Franka podtrzymać. Zamilkł więc zdesperowany.

Przy herbacie ożywiono się. Zabrał głos kapitan zwany „Blue Peter”, — że rad wychodził w morze. „Blue Peter” — nie lubił mówić. Małego wzrostu, zamknięty w sobie, milczący — nie dyskutował nigdy. Przysłuchiwał się

z boku, ważył w sobie racje i argumenty wyrokował krótko — ogłaszając niespodziewanie decyzję — rozkaz. Tym razem otwierał dyskusję w sprawie wyjazdu:

— Wypowiedzieli się dotąd wyraźnie Redaktor i Sędzia. Profesor popiera wyjazd. Redaktor proponuje 55⁰. Sędzia — Jastarnię. Czekam zdania reszty?

— Na zachodzie stratus — pytyjskim tonem zaczął Goryl, vel Płanetnik, zawodowy „PIM-iarz", — wczoraj pod wieczór obserwowałem cirrusy—możliwy zatem niż— pogoda jak wnosić można nadchodzi sztormowa, choć z drugiej znów strony, barometr idzie w górę na pogodę, stan nieba 9, na wschodzie „alto cumulus", więc...

— Gadaj krótko 55⁰, czy Jastarnia? — przerwał na dobre już zdenerwowany Redaktor.

— Zależy od pogody, jeżeli jutro lub pojutrze będzie wyż....

— Co będzie jutro, lub pojutrze mało nas obchodzi, jedziemy lub nie jedziemy, już zaraz, — gadaj więc po ludzku — tu czy tam; tak, czy nie!

— Róbcie jak chcecie — ciągnął zrezygnowany Goryl, — jeżeli jednak będzie niż...

— Głos ma Palacz — przerwał dyskusje Kapitan.

Palacz był to chłop na schwał, — „pomyślunek" według Franka miał jednak ciężki, choć zdrowy. Wstał ospale i wodząc szeroko ręką zaczął:

— Jechać w morze? Nonsens! Do Danji, Szwecji, Honolulu, na jakąś wyspę choćby Esel — pojadę, nawet na desce, okrakiem. Lubię popatrzeć na nowę gębę, spróbować nowego trunku, zagadać do innej kobiety. W każdej dziurze, życie ma inny smak — a lubię rozmaitość. Ale 55⁰ szerokości? Weź-że mapę, popatrz! 42 mtr. głęboko, na dnie glina, nad tem osolona woda, nad nią wiatr; — mokro, zimno, do domu daleko. Wolę i ja z Sędzią piwo w Jastarni; — choć wypiję i to którego sami sobie nawarzycie. Raz kozie śmierć! Zresztą wstrzymuję się od głosu.

Wszyscy zwrócili wzrok na kapitana. „Blue Peter, mając snać gotową decyzję nie zwlekał:

— Jedziemy zatem do 55⁰, wyjeżdżamy zaraz. Kto nie chce może zostać z Sędzią.

Sędzia obruszył się:

— Jeśli myślicie, że zostanę, mylicie się, — idjotami też ktoś się musi zaopiekować. Jadę!

— Kto więcej? — naglił Blue Peter. — Proszę!

Franuś od dawna przysłuchiwał się z boku, lubił bowiem wiedzieć w czem rzecz. Usłyszawszy decyzję zaklął paskudnie.

— Do cna zgłupieli! Gubią niewinnego człowieka. Pyska nie mam do kogo otworzyć, i chcą mnie zostawić sam na sam z mą żałością. Nawet Palacz, — i ten „bawoł" mię zdradził — zamiast po ludzku iść do knajpy na piwko — ciągnie do słonej wody! Tfu! Głupota się szerzy! Jadę z wami. — Niech się ta moja bieda przepełni — kończył rozczulony, — niech zrozumie mój chamski łeb, że żeglarstwo nie dla mnie robota.

„żerbolty" spojrzeli radośnie po sobie. Lubili Franka, który, choć leń „królewski", zawsze miał humor, a mimo, że „świnię w gębie nosił" — dał się słuchać. Nadewszystko był chłop z sercem. Strach się go nie imał, a gdzie było krucho, tam rad i łba nadstawił. Wstydził się później tego, — ceniąc wysoko swą opinję nieroba i ofermy.

Piotruś zadowolony z powiększenia się załogi, służbowo oznajmiał:

— Franek tylko pamiętaj, na morzu obowiązuje posłuch morski. Kapitańska władza nad życiem i śmiercią, kary surowe do chłosty włącznie. Zawiadamiam i ostrzegam! A teraz brać swoje bety, bo za 3 kwadranse odjazd.

Wstano od stołu.

Bractwo radośnie rozbiegło się po kątach. Ostatni zwlókł się Franek:

— Ruszaj i ty bałwanie, idjoto, — zachęcał się głośno, — leć, duchem! i pamiętaj — utop się durniu! do kompletu! Tfy!

O godzinie 14.30 „Silny" wyszedł z portu w morze. W książce wyjazdów zapisano: „Dwudniowa wycieczka na Hel".

Od lądu szedł równy świeży wiatr. „Silny" obwieszony żaglami szedł „fordewind" chybocząc się lekko na fali. Gdyby nie srebrzysty warkocz za rufą, możnaby przypuścić, że stoi w miejscu, — płynął jednak prędko.

Kapitan wzdłuż burty rzucał papierki mierząc szybkość. Goryl u steru — wyliczał kąty, aby nie uronić najmniejszego podmuchu. Redaktor kreślił na mapie kursy, Profesor niespokojnie, przekładał z kieszeni do kieszeni jakieś proszki i pigułki. Franuś z Palaczem poszli spać do kajuty.

Po dwóch godzinach zawinięto do portu w Helu. Sędzia z Gorylem skoczył po prowiant i wodę. Piotruś na wszelki wypadek zapowiedział, że bez względu na powrót wysłańców wyjeżdża w morze o 5-tej. Asekurował się w ten sposób przed dziwnemi zwyczajami kochliwego Sędziego, gotowego przepaść w pogoni za jakąś spódniczką.

Wyruszono już po szóstej, mimo, że zbliżał się zachód. Wiatr nie słabł. W świetle niskiego już słońca Hel wyglądał, jak miasteczko — zabawka. Wokół portu krążyły kutry pykając niezmordowanie. Dalej widać było ciemne cielska węglowców idących do Gdyni.

„Silny", opłynął helską mieliznę, zrobił zwrot i wziąwszy kurs wzdłuż półwyspu sunął ku Rozewiu. Po zawietrznej była spokojniejsza fala, szybkość zmalała mimo, że „Silny" płynął w półwiatru. Przy Rozewiu złapała jacht noc. Słońce czerwone jak rozpalona kula — utonęło w morzu. Horyzont zasnuł mrok. Jaskrawe barwy zachodu zastąpiła szarość zmierzchu.

„Silny" sunął jak zjawa w mrokach bezksiężycowej nocy. Niebo ubrylantowane gwiazdami, iskrzyło się jak zimą. Ster wziął Redaktor. Choć na niebie jasno błyszczała polarna gwiazda, wziął kurs na północ według fosforycznej igiełki swego śmiesznego kompasiku. Wpatrzony w niebo walczył z sennością. W ćmie nocnej widział jakieś blade światło, — może to jasne włosy dziewczyny i jej stalowe oczy?

Noc zeszła spokojnie „Silny" szedł niezmordowanie na północ. Od dwóch godzin 55⁰ był już za rufą. Redaktorowi nie było jednak pilno zmieniać „drogiego" kursu, dopiero gdy o brzasku, wziął ster do ręki „Blue Peter", wykręcono dziób ku wschodowi. Wraz z dniem wzmógł się wiatr. Morze pokryło się skibami grzywiastych baranków. Łagodna dotąd fala zaczęła z minuty na minutę rosnąć. Wiatr zaczął świstać w wantach. „Silny" położony na burcie, zaczynał cwałować wśród wodnych zwałów. Pieniste grzywy coraz częściej wlewają się na pokład. Przechyły stają się przykre. Pierwszy oddał duszę rybom Profesor. Przerażony, zgnębiony, męczył się strasznie przegryzając nadaremnie zbawcze pigułki. Reszta załogi również markotna.

— Nurtuje ich coś we wnuku — ocenia sytuację Franek — chcieliśta bobu, macie!

Coraz więcej wody wlewa się do wnętrza. Trzeba refować. Z niemałym trudem kąpiąc się pod prysznicem rozbijających się pióropuszy, Goryl z Sędzią zmieniają fok zwykły na sztormowy. Jest lepiej, lecz sterować trudno. Mimo, że Blue Peter, słynie jako „magik" w jachcie jest coraz mokrzej. Pompka obsługiwana ofiarnie przez Pala-

cza funkcjonuje kiepsko. W zenzie wody przybywa, niedługo będzie można pływać i w kajucie. Chętnych do choroby przybywa. Tymczasem walczą jeszcze z niemocą wietrząc się na pokładzie. Głodni, niewyspani, przemoknięci, ziębnięci kulą się po kątach milcząc. „Silnym” rzuca mocniej i mocniej. Niebo zasnute ciężkiemi deszczowemi chmurami, wisi nisko nad głowami groźne, złowrogie.

Franek zły, bo głodny, drwi bezlitośnie:

— Cóż to żaden nie pyta o śniadanko, proszę, proszę, jest pasztecik, polędwiczka, babka, keks, malinowy jam — proszę niekrępować się, niema tłoku!

Nikt go nie słucha. Redaktor na wachcie przy foku „karmi ryby”. Znębiony „Płanetnik” stawia beznadziejną prognozę :

— Cumulo - stratusy sztorm pewny, żeby tylko wiatr nie przekroczył ósemki, bo zginiemy!

— Módl się hyclu—nie pyskuj — zawył mu nadełbem Franek, sięgając ręką w zanadrze. — Brr, Brr... zimno, Paanie kapitanie, proszę posłusznie o pozwoleństwo na jednego sztormowego!

Łyka jeden drugi... daje kapitanowi, butelka idzie kolejką, „Zagrychy” nikt jednak prócz Franka nie rusza, — piją naczczo.

— Tkliwy naród, psiakrew, same płyny piją, — kpi Franek.

Blue Peter przy sterze coraz bardziej zdenerwowany, choć wypuszcza wiatr z żagla, „Silnego” kładzie tak, że koniec boma szoruje po fali. Sędzia, Palacz, Goryl bez przerwy wylewają kubłami wodę, gdyż pompa niewystarcza. Profesor rzucany z burty na burtę pół-żywy jęczy głucho. Redaktor coś szepcze z kapitanem. Franek powtarza w kółko:

— A nie mówiłem? Ewangelja nie na próżno mówi: „Śmierci nie czekaj, ale kurcze pieczone uciekaj”. — Nagle milknie zatkany słoną wodą.

Z prawej burty wpadł grzywacz, potężniejszy niż inne. „Silny”zarzucił rufa położył się gwałtownie, skrzypnęły wiązania, jęknęły wanty, od dzioba zwaliła się wodna góra. Fok — fały zwiotczały.

— Fok djabli wzięli! — melduje głucho Redaktor, wskazując na żałosne łachmany wiszące na sztagu. — Trzeba jeszcze refować!

Franek z pomocą Sędziego nago, by nie moczyć ubrania, majstrują koło „patent-refu”. Jest źle. Fala, którą przed chwilą „Silny” zwalczył nie była jedyną „Fatalną Falą”. Oto suną jeden za drugim groźne przewały. Omijać je trudno. Jacht niezrównoważony nie słucha steru. Refować więcej nie sposób. Trzeba płynąć do lądu, nie dać się wydmuchać w morze. Załoga markotna. Zwykle ożywieni, dzielni, dziś pokurczeni, tulą się jak mokre kury. Redaktor z Frankiem śpiewają wprawdzie, „o dziewczynie, co ma jasne włosy i oczy niebieskie”, lecz to tylko tak, — dla kurażu.

— Katlinę za burtę — komenderuje Blue Peter.

— Jest za burtą,—powtarza automatycznie Franek.— 40 metrów za burtą!

— No jest lepiej, przynajmniej nie leci do wiatru, nie potrzebuję wypuszczać żagla, no i choć trochę posuwamy się ku brzegowi. Jak Profesor?

Franek wykonał beznadziejny ruch ręką. Profesor. bowiem leżał nieprzytomny na dnie kajuty, rzucany jak tłomok, męcząc się strasznie i plując krwią.

Redaktor z Sędzią zniknęli pod pokładem. Obijani o ściany — ciągnęli stare liny z kabelgatu. Palacz jakimś żelastwem zbija do kupy, koziołek z spinakerbomem, wraz z balonfokiem — uczyni to pływają kotwicę — ostatni ratunek, gdyby nie wytrzymał maszt, wanty.

Kapitan nie chce nikomu oddać steru. Nie ufa.

Wsłuchuje się w ponure głosy jęczących want i sztagów, — bada granice wytrzymałości masztu.

— Wogóle mięta — oznajmia obojętnym tonem Franek.

Jest już południe, a lądu z nikąd nie widać. Powoli ogarniać wszystkich zaczyna apatja. Głód, chłód i nerwy robią swoje! Odparto zwycięsko tysiące ataków, a ile ich jeszcze przyjdzie wytrzymać? Czy sił starczy?

Kapitan każe śpiewać. Wśród szalejącego sztormu zmizerowani, mokrzy do suchej nitki Sędzia, Redaktor i Franek, ryczą społem piękną żeglarską pieśń:

„Zasępione nasze morze
Szumi w dzień i szumi w noc,
Już nie jedną życia zorzę
Pochłonęła jego moc”.

Pod wieczór ujrzano mrugające światło dalekiej latarni.

— Raz, raz, raz... raz, raz raz.. — liczył Sędzia. — Ki djabeł? Od Gdańska, po Szczecin nie ma nic takiego. Pewno brzeg Sambji?

Zbliżono się do wybrzeża. Fala i wiatr zmalały, można postawić fok, odrefować grota. O północy dojrzano światła Gdańska, a z brzaskiem „Silny” wchodził do portu w Gdyni. Tuż przed wejściem, ostatni gwałtowny szkwał wyrwał wantę wraz z ściągaczem.

— Dobrze, że dopiero teraz, czuwała nad nami Opatrzność — wyszeptał blady jak płótno Kapitan. —

Żerbolty prostując, na bohaterów, swe umęczone ciała wynosili na brzeg rzeczy.

— Było byczo — rzekł Sędzia — więcej jednak z warjatami nie pojadę!

Profesor na brzegu, poraz ostatni chorował.

Redaktor spoglądał radośnie szczerząc zęby, na Kapitana, który z zadowoleniem klepał się udach i szeptał:

— No, ale dało nam szkołę. 55° zdobyty! Lepiej się do tego jednak nie przyznawać. W taką pogodę — na „Silnym” — nie uwierzą! Myślę jednak, że na kapitanów zasłużyliśmy.

Redaktor bez słowa odpowiedzi powlókł się na molo, ku latarence wejściowej, wylazł na wierzch i oparty o balustradę smutnie spoglądał na północ — „ku swojej kochanej dalekiej”.

— Nieuleczalny warjat, — orzekł Franek, znawca dusz ludzkich.

Rano próżno dyżurny szarpał Franka za rękę. Spity jak bela, leżał bezwładny klnąc cholerne porządki i wogóle bezprawie.

Tonny.



Uczestniczki kursu morskiego w Gdyni.

Sport wodny motorowy

Sport wodny motorowy w Polsce bardzo słabo się rozwija, pomimo to, że mamy przecież i rzeki i jeziora, po których z powodzeniem jeździć można. Przyczyna tkwi w braku zamiłowania do tej gałęzi sportu jak również przekonanie, że uprawianie sportu wodnego motorowego jest bardzo kosztowne. Otóż jeżeli bliżej przyjrzymy się tej sprawie i zanalizujemy ją zarówno pod względem kosztów sprzętu jak i kosztów jego użytkowania, to przekonamy się, że nie jest tak źle, jak się nam wydaje. Łodzie motorowe bywają dwóch rodzai, albo z motorem wewnętrznym, albo z motorem przyczepnym, który w ostatnich czasach, zawdzięczając udoskonaleniu konstrukcji jak i stosunkowo niskiej cenie zdecydowanie wypiera w sporcie motor wewnętrzny, którego zarówno wmontowanie w łódź jak i konstrukcja ze względu na rewers, wał kardanowy, przeguby i inne dodatki czynią droższym niż motor przyczepny i bardziej kłopotliwym pod względem konserwacji i obsługi. Cena motoru przyczepnego w zależności od jego mocy rozpoczyna się już od 1000 zł., jeżeli teraz do tej ceny dodamy cenę łódki, która znów w zależności od konstrukcji , wykonania i materjału wynosi od 500 i więcej, to otrzymamy, że najmniejszy koszt łodzi z motorem przyczepnym będzie wynosił 1500 zł., czyli, że za 1500 zł. możemy się zaopatrzyć w nowy sprzęt, który da nam możność uprawiać sport wodny motorowy. Koszt użytkowania tego sprzętu również nie jest zbyt wysoki. Dla przykładu podamy dane cyfrowe, które otrzymano jako średnie z trzykrotnych prób, wykonanych z łodzią z siedmiokonnym motorem przyczepnym marki Evinrude. Łódź użyta do prób ważyła 100 kgr., motor — 26 kgr., 4 osoby à 75 kgr. — 300 kgr. różne drobiazgi — 14 kgr. Ogółem 440 kilogramów.

Podczas godzinnej jazdy zużyto 3,5 litra mieszanki 15%. Na 1 KM. i godzinę zużyto 3'5:7=0'5 litra mieszanki. A więc ponieważ użyto mieszanki 15%, przeto na 1 KM. i godzinę zużyto benzyny 0.5, 0'85=0'425 litra. Na 1 KM. i godzinę zużyto benzyny 0'425, 0'72=300 gr. Na 1 KM. i godzinę zużyto oliwy 0'075 litr.

Te dane charakteryzują zużycie materjałów pędnych przez motor, przekonamy się teraz jak się przedstawia koszt tego zużycia. 3,5 litra mieszanki zawiera: 2'975 litra benzyny i 0,525 litra oliwy: 2,975 litra benzyny à 82 g.= 2'44 zł., 0'525 litra oliwy à 3 zł.=1 zł. 57 gr., stąd wniosek, że godzina jazdy łodzią z 7-iokonnym motorkiem przyczepnym Evinrude wynosi 2 zł. 44 gr. + 1 zł. 57 gr. = 4 złote. A więc 1 KM. i godzina kosztuje 4 : 7 = 57 gr. Oczywiście jest to koszt tylko materjałów pędnych, bez amortyzacji motoru i łódki.

Z kolei zastanówmy się jaki motor do jakiej łódki należy stosować. Do łodzi z płaskiem dnem bez zęba lub z zębem należy stosować silnik o mocy najmniej 18 KM., gdyż przy tej mocy łódka nabiera chyżości około 40 klm. na godz. przy której unosi się z wody, przez co zmiejsza się jej opór. Zasadnicze wymiary takiej łodzi są następujące: długość nie powinna przekraczać 4,5 metr., szerokość 1,5, czyli powinien mniej więcej być zachowany stosunek szerokości do długości 1:3, wysokość zaś 40 — 45 — 50 cm. — z tyłu, w środku i z przodu. Materjał — dąb lub świerk, a nawet lepiej świerk, mający mniejszy ciężar gatunkowy tylko dobrze impregnowany pokostem i izolowany lakierem. Pominąwszy, wyczyny sportowe jakie można dokonać taką łódką osiągając szybkość 50 — 70 klm./godz. a porównywując koszt przeniesienia się z jednego punktu rzeki do drugiego w pierwszym wypadku przy użyciu 7 KM. motoru i w drugim wypadku przy użyciu 18-konnego motoru przekonamy się co następuje. W pierwszym wypadku przestrzeń przebyta wynosiła 10 klm. pod prąd i została pokryta w godzinę przytem zużyto 3,5 litra mieszanki co kosztowało: 4 zł. 54 gr. Motorem 18 KM. ta sama przestrzeń została pokryta w 15 minut. Motor 18 KM. w godzinę zużywa mieszanki 18,0'5 = 9 litrów. Wobec tego otrzymamy

$$\frac{9 \cdot 0.85 \cdot 82 \;\; 15}{60} = 1.75 \text{ zł.}$$

jako koszt zużycia benzyny.

Koszt zaś oliwy wyniesie:

$$\frac{9 \cdot 0.15 \cdot 3 \cdot 15}{60} = 1.00 \text{ zł.}$$

1'57 + 1'00 = 2'57.

Jeżeli ten rezultat porównamy z kosztem w pierwszym wypadku, to przekonamy się, że ekonomiczniejszy jest silnik o większej mocy niż o mniejszej, biorąc pod uwagę pokrycie jednej i tej samej odległości. Jeżeli zaś mamy poruszać się pomału, to zawsze lepiej stosować silnik o mniejszej mocy, gdyż w tych warunkach jest on ekonomiczniejszy.

Inż. J. Jankowski.

Cena ogłoszeń: 1 strona zł. 300, 1/2 strony zł. 155, 1/4 str. 80, 1/8 strony zł. 45, w tekście o 50% drożej.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI, WARSZAWA, GALERJA LUXENBURGA, SENATORSKA 29. — TEL. 670-56.
Prenumerata „Sportu Wodnego" wraz z dodatkiem „Sport Zimowy" wynosi Zł. 20.
Rękopisów nie zwraca się. Ogłoszenia i prenumerata zagraniczna 50% drożej. Konto w P. K. O. Nr. 6013.
Wydawca „WAW" Warsz. Agencja Wydawnicza S-ka z o. odp. Redaktor *MIECZYSŁAW MAJCHER.*

Drukarnia: Piotr Pyz i S-ka, Warszawa, Miodowa 8.

Międzynarodowe zawody pływackie w Siemianowicach.

Staraniem I Klubu Pływackiego Siemianowice odbyły się w niedzielę zawody pływackie na basenie krytym w Siemianowicach o bardzo urozmaiconym i bogatym programie.

Na starcie stanęli najwybitniejsi pływacy i pływaczki obu Śląsków — Opolskiego i Górnego. Sensacją był udział w zawodach mistrzyni Niemiec w stylu dowolnym na 100 mtr., p. Salbert.

W zawodach wyróżnił się Walter z Siemianowic, który zapowiada się na godnego następcę Bocheńskiego. W biegu na 100 mtr. stylem dowolnym osiągnął on dobry czas 1:06,4 sek. Doskonałą formę wykazał Hallor ze ŚKLA, który był drugim na 100 mtr. stylem dowolnym w czasie 1:08,8 sek.

W skokach wyróżnił się nowy talent polskiego Śląska, Wredlich z Siemianowic, który w skokach z trampoliny i wieżowych zajął drugie miejsce, za mistrzem śląskim, Ziają.

Niespodzianką była porażka Jarkuliszówny. W biegu na 200 mtr. stylem klasycznym zajęła czwarte miejsce.

Zawody niedzielne ze względu na udział najlepszych zawodników obu Śląsków uważać należy za nieoficjalne spotkanie reprezentacji Śląska Opolskiego i Gurnego, które dotychczas nie doszło do skutku.

Wyniki techniczne przedstawiają się następująco:

Sztafeta st. zmiennym 66 — 100 — 200 — 66 mtr.: 1) Gliwice 6:07,8 sek., 2) EKS Katowice 6:18,1 sek., 3) Siemianowice 6:53 sek.

100 mtr. nawznak pań: 1) Jandera (Gliwice) 1:45,4 sek., 2) Machurówna (Siem.) 1:46 sek.

200 mtr. st. klas. panów: 1) Rychter (Gl.) 2:55 sek., 2) Hauber (Hindenburg) 3:03 sek., 3) Kaputek (ŚKLA) 3:07 sek.

100 mtr. st. dow. pań: 1) Salbert 1:13,4 sek., 2) Kotulla (Gl.) 1:15,1 s., 3) Raszdorfówna (ŚKLA) 1:26,8 s.

Sztafeta 3×66 st. zmiennym pań: 1) Gliwice 3:00,3 sek., 2) Siemianowice 3:12,6 sek., 3) ŚKLA 3:14 sek.

100 mtr. nawznak panów: 1) Rychter (Gl.) 1:17,8 s., 2) Bluszcz (Gl.) 1:21,5 s., 3) Frania (Siem.) 1:22 sek.

100 mtr. st. dow. panów: 1) Willy (Gl.) 1:04,5 sek., 2) Walter (Siem.) 1:06,4 sek., 3) Hallor (ŚKLA) 1:08,8.

Skoki z trampoliny: 1) Ziaja (Siem.) 97.34 pkt., 2) Wredlich (Siem.) 89.06 pkt., 3) Hoff (mistrz Śląska niemieckiego) 83.90 pkt.

200 mtr. st. kl. pań: 1) Musiołówna (Gl.) 3:26,6 sek., 2) Gwoździówna (Siem.) 3:32,8 sek., 3) Hocheisen (Hindenburg), 4) Jarkuliszówna 3:36,4 sek.

Sztafeta 4×100 mtr. st. klas. panów: 1) Gliwice 5:31,4 sek., 2) Siemianowice 5:46 sek., 3) EKS Katowice 6:00,4 sek.

Skoki wieżowe panów: 1) Ziaja (Siem.) 50.38 pkt., 2) Wredlich (Siem.) 34.26 pkt.

Na zakończenie zawodów rozegrano dwa mecze piłki wodnej. W pierwszym Siemianowice pokonały niemiecki Friesen 5:4 (3:1). W drugim meczu EKS uległ mistrzowi Niemiec południ.-wschodnich (S. C. 1900) Gliwice 0:9 (0:5).

Zwycięstwo Siemianowic jest pierwszem zwycięstwem drużyny polskiej nad zespołem Śląska Opolskiego.

Wizyta jachtsmenów polskich w Yacht - Klubie Francji w Paryżu.

Biuletyn Yach' Klubu Francji zamieszcza obszerniejszą wzmiankę poświęconą wizycię p. kpt. „Junaka” komandora Władysława Filipowicza i p. Borysa Karnickiego.

Po powitaniach p. komandora Y. K. Francji p. Schelchera, rzekł co następuje:

„Jestem szczęśliwy, że mogę imieniem Yacht Klubu Polski wyrazić uczucia przyjaźni i poważania dla waszej bandery. W dowód przyjaźni pozwalam sobie ofiarować proporczyk naszego Yacht - Klubu. Spodziewam się, że wkrótce będziemy mogli gościć piękne jachty francuskie u siebie w skromnym Yacht-Klubie Polski w Gdyni”.

Odpowiedział p. Schelcher: „Imieniem wszystkich kolegów z Yacht-Klubu Francji dziękuję z całego serca za uczucia przyjaźni wyrażone ze strony Yacht-Klubu Polski. Wzruszyły nas one głęboko. Uczucia jakie żywię dla polskich kolegów, podzielają wszyscy członkowie Yacht-Klubu Francji. Zapewniam pana, że dołożymy wszelkich starań, aby nawiązać między żeglarstwem sportowem naszych krajów stosunki równie szerokie, jak te które łączą nasze floty wojenne”.

Wzmianka zawiera dane o rozwoju jachtingu w Polsce i wzmianki o Gdyni.

ŁODZIE WIOŚLARSKIE
WYŚCIGOWE i PÓŁWYŚCIGOWE

ŻAGLÓWKI — ŚLIZGOWCE — MOTORÓWKI

ŁODZIE SPACEROWE

WŁADYSŁAW URBANIAK, Poznań
DROGA DĘBIŃSKA № 10, TEL. 33-54.

STADJON
2 TYGODNIK • ILUSTROWANY
POŚWIĘCONY • SPRAWOM • KULTURY • FIZYCZNEJ

CIEKAWA TREŚĆ

DUŻO PIĘKNYCH ILUSTRACYJ

Egzemplarz okazowy wysyłamy po wpłaceniu Zł. 1 na konto w P. K. O. Nr. 7498

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
WARSZAWA, SENATORSKA 29

WIOŚLARSKIE
ŁODZIE
WYŚCIGOWE
TURYSTYCZNE



„NAVICULA"
WARSZAWA TEL. 344-38
GROCHOWSKA 119

WIELKĄ NAGRODĘ
Na pierwszych regatach ślizgowców w Warszawie dnia 18 października r. b.

ZA NAJWIĘKSZĄ SZYBKOŚĆ W STOSUNKU DO MOCY SILNIKA

Zdobył p. **LUDWIK ĆWIL** z Policyjnego Klubu Sportowego

Na motorze o sile 20 KM. (cena zł. 2400)

FIRMY

„EVINRUDE MOTOR C°"
Jeneralna reprezentacja na Polskę i w. m. Gdańsk

E. Bryzemejster, Warszawa, Lipowa 4a. Telefon 695-09

DRUK PIOTR PYZ i SKA WARSZAWA